PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austryi: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt." dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT" Kraków, ulica Bonerowska № 12.
CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronice poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30 Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na I-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcyi 80-75, redaktora 68-75, Administracyi 73-22.
FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 31 z dnia 2 Sierpnia 1913 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1 róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

U ŹRÓDŁA PRAW.

Wiemy, że w rozwoju historycznym prawo wzięło początek z obyczaju, mylnie jednak wyobrażamy sobie, że obecnie prawa, urabiane w oficyalnych kuźniach, przestały już podlegać tej mocy twórczej, która je do życia powołała. Wyobrażenie to jest tak sprzeczne z powszednią, na każdym kroku spotykaną rzeczywistością, że tylko nałóg myślenia książkowemi formułkami, a zanik bezpośredniej obserwacyi może tę pomyłkę tłómaczyć.

Przeciętny ogół, na dobrą sprawę, wcale prawa nie zna, wnosi o niem na zasadzie stale powtarzających się faktów, wcale a przynajmniej najczęściej nie pytając, czy i o ile są one z prawem zgodne.

Nawet bardzo świeżo postanowione prawa ulegają powszechnemu zapomnieniu, jeśli nieomal nigdy stosowane nie były i jeśli się na nie nikt nie powoływał. Stąd to interpelacye w parlamentach mają nie mniej doniosłe znaczenie, niż uchwalanie ustaw. Uchwały rodzą prawa, interpelacye utrzymują je przy życiu.

Określenie, że dane prawo „wchodzi w życie", bardzo trafnie maluje proces, jaki się dokonywa, choć nie zawsze trafnie bywa stosowane do momentu, gdy prawo zaczyna obowiązywać formalnie, zamiast do tego, gdy zaczyna być stosowanem.

Zwyczaj, który „wszedł w życie", zamienia się w prawo, a przeciętny ogół bardzo często nie odróżnia jednego od drugiego i nieświadomie sam nieraz pomaga do ustalenia i sankcyonowania krzywdzącego go bezprawia.

Niedawno dowiedzieliśmy się, że prawa, dotyczące szkolnictwa w państwie rosyjskiem, liczą wiele tysięcy paragrafów, obejmują 625 stronic druku, a zatem gruby tom. Niełatwo jest je spamiętać, tembardziej stosować, a sprawdzenie, które z nich są w obecnym czasie wykonywane, a choćby wykonalne, czy jedno nie obala drugiego — byłoby robotą tak mozolną, że mało kto mógłby jej sprostać. Tembardziej niemożliwą jest rzeczą, by tę kontrolę wykonywali wszyscy, czyli tak zwana opinia publiczna, co jest jednak nieodzownym warunkiem, aby prawo weszło w życie.

Bardzo prawdopodobnie w liczbie tych kilku tysięcy skodyfikowanych paragrafów ustawy szkolnej braknie wielu takich, które w rzeczywistości praktykę szkolną normują, a moc swą czerpią tylko stąd, że nikt się od nich nie uchyla, widząc, że stale, chętnie czy niechętnie, stosują się do nich inni.

Ci „inni" czynią to zresztą pod wpływem tych samych pobudek biernego naśladownictwa, a stąd każdy każdemu w pewnej mierze prawo narzuca bezwiednie i mimowoli.

Pośród wielu zwyczajów, które się stały prawem, wszedł w życie i ten, by nigdy o prawo nie pytać i o nie się nie upominać, lecz między wronami krakać, jak i one. Tym sposobem ogół, zamiast być prawodawcą rozważnym, świadomym i odpowiedzialnym, staje się biernym, nieodpowiedzialnym ciemięzcą samego siebie; zamiast przystosowywać prawa do swych potrzeb, nagina

się do szkodliwego dla siebie zwyczaju. Zrzekając się formalnej odpowiedzialności, ponosi całe brzemię faktycznej.

Łatwo byłoby datami i faktami udowodnić, że oddawna już do ostatnich czasów w ten sposób upadały prawa znośne, a tworzyły się nieznośne. Największą jest jednak szkoda moralna, utrwalenie się nałogu liczenia, jako zasad wiernego rysu psychiki narodowej, duchowa niepełnoletniość, składająca wszystko na zewnętrzny przymus i szukająca wymówki dla każdego postępku w tem, że popełniono go „nieumyślnie". Wiemy, że jest to ulubiona wymówka tresowanych w posłuszeństwie dzieci. „Pamiętaj, nic nigdy nie robić umyślnie", pouczała pewna dziewczynka swą lalkę. — W dzisiejszem wychowaniu ta wymówka traci walor, a rozumne matki odpowiadają, że nie o to chodzi, by robić nieumyślnie źle, lecz umyślnie dobrze. Nasza gnuśność rozkoszuje się niekiedy naszą bezsilnością, gdyż ta zwalnia od obowiązków i odpowiedzialności, niepomna, że ten tylko niemożnością tłómaczyć się może, kto się o niej przez nieustanne wysiłki przekonał. Kto, zawczasu przewidując przegranę, ustępuje, sam jest autorem swej klęski. Kto walczy i zmaga się do ostatka wbrew temu przewidywaniu, ten przynajmniej siły swe wyćwiczy, co pozwoli mu w przyszłości powetować dzisiejszą porażkę. U nas zawsze ci tryumfują, którzy pierwsi uciekli lub wcale z domu się nie ruszali, bo wiedzieli, czem się to skończy; zaczynając od tego, na czem skończyli inni, czyli od kapitulacyi, przyspieszali koniec. „Niech z nami robią, co chcą, byleśmy temu nie byli winni"; to najpospolitsza nasza maksyma, przemilczająca dyskretnie tę prawdę, iż na nas wina spada za to, że każdy czyni z nami, co zechce.

Bardzo, bardzo rzadko zdarzają się wyjątki. Na wystawie kijowskiej zabroniono mówić po polsku. Gdyby wszyscy byli się tego trzymali, nie pytając kto i na mocy czego zabrania, jak to jest naszym miłym zwyczajem, zakaz stałby się prawem. „Zabroniono, zwyczajnie wolno, nie wolno, znaczy: nie można". Tymczasem ujawniła się wręcz przeciwna niemożliwość: nie można było zakazać, i kto chce, mówi po polsku. Wartość faktyczna różnych drobnych odcieni prawa zależy od tych, którzy je wcielają w życie.

Mało kto z nas wie, że w szkołach poznańskich wykładany jest polski język, jako przedmiot nie obowiązujący, za dodatkową opłatą. Niemcy posyłają na te lekcye swe dzieci; polacy nie. Na tej zasadzie opowiadano mi: „Są u nas lekcye polskiego języka dla niemców; dla polaków ich niema". Gdyby na nie uczęszczali, mogliby narzekać, że dla polskich uczniów nauka ta jest niewystarczająca; gdy tego nie czynią, stwierdzają swym postępowaniem, że i tego jest dla nich aż nadto — i sami ścieśniają zakres praw polszczyzny w szkole.

Jeśli utrzyma się poprawka Dumy w ustawie samorządowej, wolno będzie w radach miejskich dyskutować po polsku. To jeszcze bynajmniej nie gwarantuje praw języka polskiego w samorządzie. Praktyka może tę wolność ustalić lub skasować, a to zależy od składu i charakteru ciał obradujących, czy w nich przeważy opinia i „wolno, więc trzeba", czy wiele popularniejsza: „wolno, lecz lepiej dać pokój".

Ach! ileż u nas poświęcono dla świętego spokoju i to wiele cenniejszych rzeczy, niż ten spokój, jaki ich kosztem kupiono!

Prawa, których czerstwość i świeżość podtrzymuje zwyczaj, wiedną i usychają, niby martwe gałęzie na drzewie życia. Równocześnie z głęboko w ziemi tkwiących korzeni — zwyczaju puszczają dzikie pędy, rosną, jak same chcą i las zamieniają w knieję. Lubuje się w niej człowiek dziki i wszelka zwierzyna.

Człowiek cywilizowany świadomie kształtuje zwyczaje, lecz nie ulega im licznie, wiedząc, że i w tej pośredniej dziedzinie prawodawstwa nie przystoi mu podlegać prawom, stanowionym bez niego dla niego.

I. Moszczeńska.

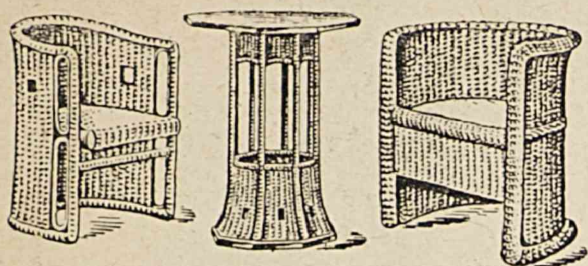


Deszcze posępne...

Deszcze posępne, płacze żałości...
Dzień bez pociechy, dzień bez radości,
Jak czarne zgliszcza, jak dom w ruinie,
Jako mogilny dół w szarej glinie.

Życie w agonii, życie kalekie
Nad moją duszą *requiem* dalekie.
Z dzwonnic samotnych, jak rozpacz, bije...
Cicho... Nie zbawią już łzy niczyje...

Savitri.



Zamęt w malarstwie współczesnem.

W on czas, gdy garncarz z Tanagra lepił swe arcydzieła w glinie, a inni tworzyli prymitywy do świątyń starego świata, sztuka była *istotnym* wyrazem ducha ich twórców. Poprawność kształtu zastępowano rytmem i instynktem harmonii.

My, ludzie muzealni, tysiącletni spadkobiercy wszech kultur, dziedzicznie obciążeni erudyci, zachwycamy się prostotą owych pradzieł.

Potem sztuka stała się wiedzą, instynkt zastąpiono „Canonem”, piękno znalazło prawodawców. A choć pozornie dzieła wielkie bywały rozmaite, jednakże to, co stanowiło zrąb, kolumnę pacierzową sztuki, nie ulegało zmianom. Wreszcie w ostatnich stuleciach twórczość artystyczną objęły: „Koszary sztuki”, zwane akademiami, instytucye, masowo produkujące wyznawców oficyalnego piękna. Akademików raz na zawsze wyuczono pewnych reguł i grymasów, a, stwarzając styl niesłychanej nudy i banalności, płytkości i pozorów, wychodowano dziwoląga: artystę-biurokratę.

Ów *homo novus*, pełen ogromnego o sobie wyobrażenia, kaleka, wsparty na szczudłach państwowej protekcyi, rozrósł się i rozplenił, niby piach nadmorski, a mnogością produkcyi nietylko zaśmiecił świat cały, ale go i oszpecił gruntownie.

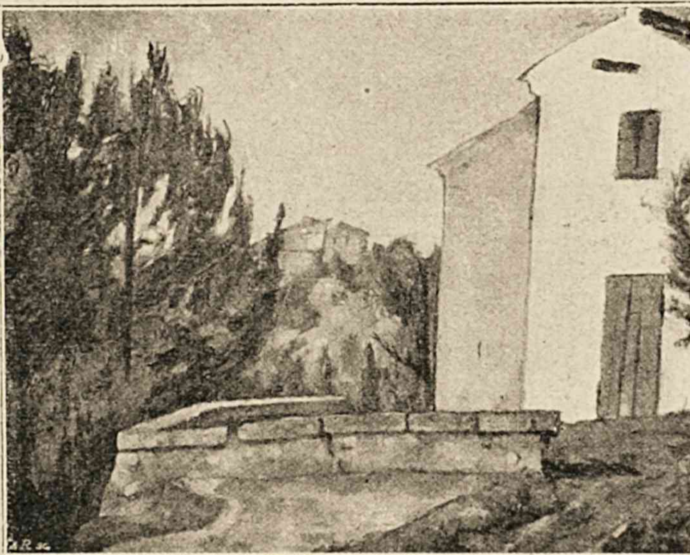
Mierność, wyposażona władzą, staje się zazwyczaj bezczelną; synekurzyści akademiccy, gromadząc godności państwowe, z czasem utworzyli kastę, zorganizowali się w bractwa, w sprawach de artibus ferujące sądy i wyroki bez apelacyi.

Aby poczynaniom podobnym, zbyt już grubym a niechlujnym, zapobiedz, ludzie talentu, niejednokrotnie wydawali im walkę na śmierć i życie.

Takim był ruch romantyków francuskich, z Delacroix'em na czele, podobni im byli prerafaelici angielscy, wreszcie niemieccy i belgijscy realiści.

Wyzwalając sztukę z opresyi biurokratyzmu i rutyny, odnawiali ją i bogacili, przybliżając do poezyi i życia (Rodin).

Niestety, gdzie konia kują, tam i żaba lubi łapę podstawiać; z czasem kandydatów na reformatorów oficyalnej sztuki, znalazły się legiony. Każden niedouczony lub nieudolny sztubak „kreował” nowe kierunki, pochopnie przez niefachową prasę wynoszony na piedestał apostoła.



Cézanne. Pejzaż z Prowancyi.

Kawiarniane herosy ultramariny czy innej „wyzwolonej” farby, sprytnie zezujące w kierunku małżeństwa z karyerą, zachwaściły piękne pole perzem ordynarnej i bezsensownej twórczości, i dziś wystawy świata wręcz uginają się pod balastem psu na budę niezdatnej babraniny, analfabetów malarskich wszech narodów i raz głupstwo, zasiane chytrą dłonią karyerowiczów sztuki, przyjęło się i wydało plon przerażający!



Cézanne. Portret własny.

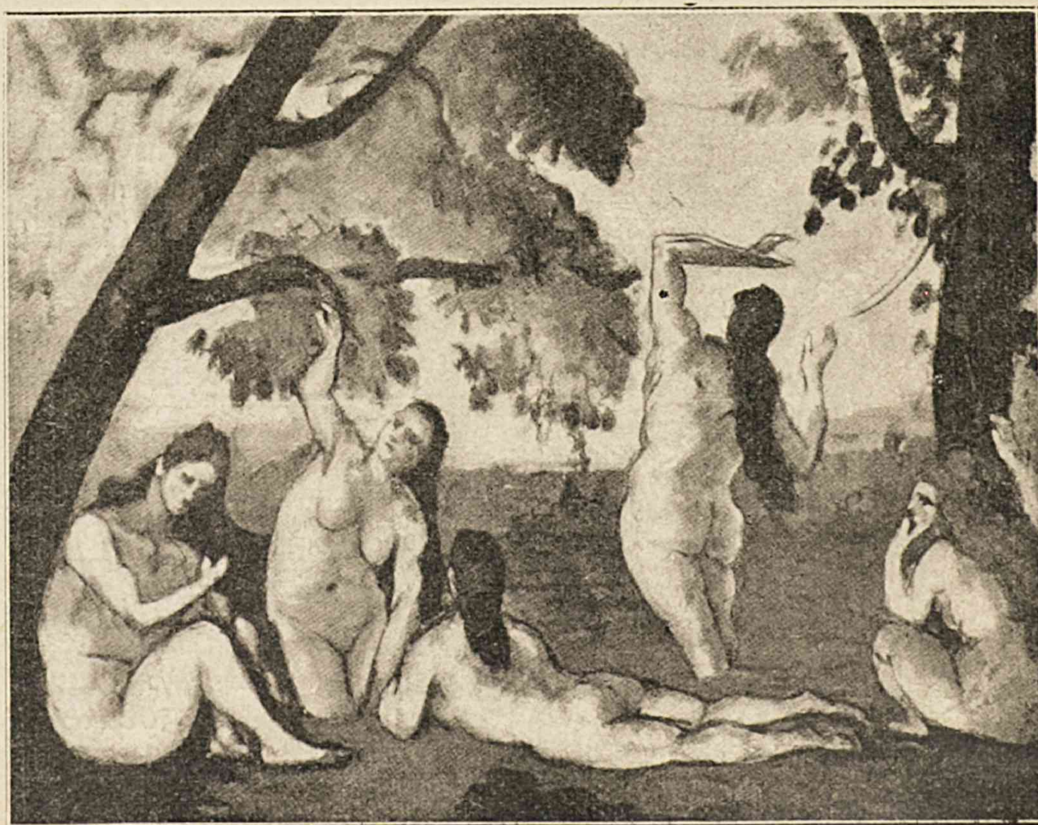
Jest to, oczywiście, dyktaturą z dołu, lawina równie groźna, jak i akademizm, negująca wszelki zdrowy sens sztuki; wszelką, naprawdę wielką tradycyę, choćby od Praxytelesa, Michała Anioła, Veronesa czy Milleta, wyszydzono i ogłoszono za nieistniejącą! Im więcej gburowatości, blagi i czelności, temci oryginalniej.

Wyniki tych usiłowań indywidualnych bywają stale tak zdumiewająco do siebie podobne, iż nie można się opędzić wrażeniu, że dzieła te są tworem jakiejś potwornej maszyny, masowo powtarzającej zawsze też same rzeczy.

Czyż może też być coś więcej nużącego i banalnego od wystaw współczesnych? Wszystkie dzieła bliźniaczo do siebie podobne; ani idei, ani formy, ani roboty porządnej — nic z tego. Powtarzanie znanych, oklepanych szematów, lub raczej jednego sezonowego „kawałka”.

Zdumienie ogarnia, czemu ci twórcy tracą tyle czasu i życia na podobne szaleństwa. Sztuka w ich rękach przechodzi groźny kryzys. Zawiniła tu niepomiernie prasa, nie





Cézanne. „W kąpieli”.

ta fachowa i, oczywiście, uczciwa, tylko ta mętna i przekupna, stwarzająca co tydzień nowe kierunki, „ostatnie oryentacye“. Jeszcze nie przebrzmiał dziwny obłęd kubistów, już urodzono neo-bizantyńców, wraz z futurystami, i — Bóg raczy wiedzieć — jaką jeszcze inną zbieraniną.

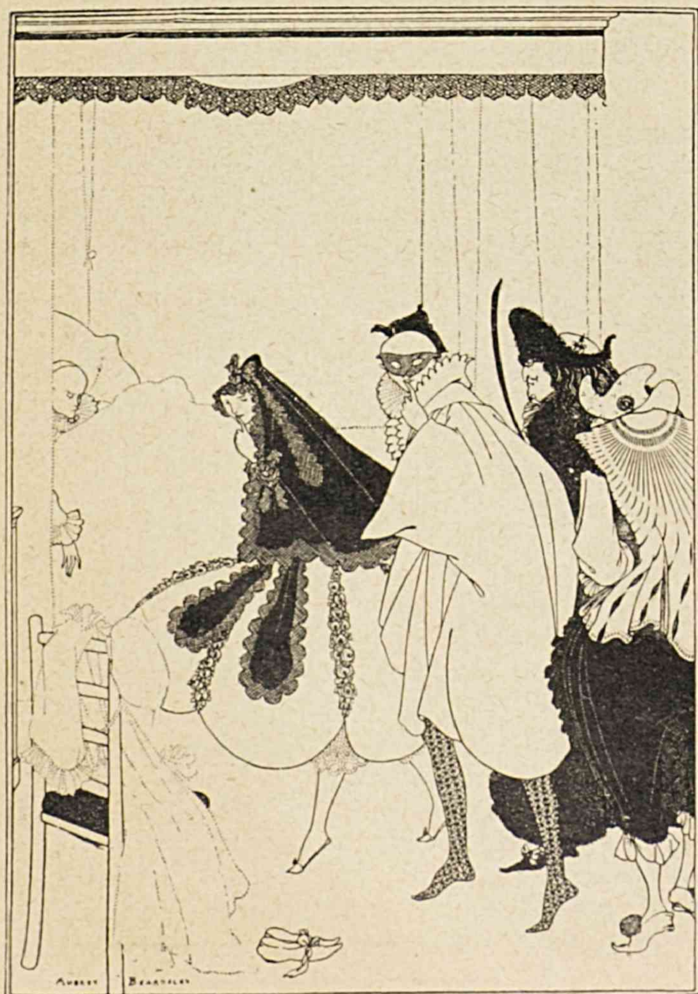


Beardsley. Portret własny.

Nieprawdopodobnie naiwne zwroty, coraz to nowsze, wynoszone do godności kierunków, uczniowskie mazaninki, podziwiano, jako ostatnie formuły i święte dreszcze sztuki. Ogół, sterroryzowany przez zorganizowanych naganiaczy, wchodzi na zupełne manowce, nie mogąc pojąć, co w tych, z taką energią chwalonych dziełach, jest znakomitego, przez zaraźliwy snobizm bojąc się przyznać, że nietylko tego nie rozumie, ale nawet nie znosi.

Pole dla blagi nieograniczone, zamęt bezprzykładny, obniżenie poziomu istotnej sztuki, wreszcie zmarnowanie sił naiwnych wyznawców, bezkrytycznie drepcących w kieracie narzuconego humbugu.

A teraz: jak sprawa tych zboczeń przedstawia się u nas? Kiedy przebogate w sztukę narody Zachodu mogą od czasu do czasu pozwolić sobie na najdziksze nawet extrawagancye, mając zawsze busolę w nieprzemijających arcydziełach własnej sztuki, my, nowicyusze, ludzie wczorajsi w sztuce, tracimy czas i zdolności, z ogromną szkodą dla istotnego rozwoju. Tak modny obecnie „Cézanizm“ jest tego najjaskrawszym przykładem.



Beardsley. Śmierć Pierota.

Ów Cézanne, malarz z drugiej połowy przeszłego wieku, ani śnił o tem, aby we własnej ojczyźnie pomijane prace i próby, takie tryumfy święciły kiedyś nad daleką Wisłą. Był to opozycyonista z zasady, nudny, ale zato uparty bezgranicznie; niewiele z jego wybryków, jakie zdołał wykonać w swem smutnem życiu, miało jaki taki mir we Francyi, tej mądrej łacińskiej Francyi, matematyczny bowiem, jasny geniusz narodowy, nie chwyta się nigdy — przynajmniej na stałe, na plewy.

Człek ten, absolutnie pozbawiony zmysłu formy, musiał znaleźć sobie jakąś inną furtkę, żeby, bądź co bądź, żyć i egzystować, no i — uchodzić za apostoła. Począł tedy inowacyę od malowania czystemi farbami, tak, jak są gotowe w tubach. Tak właśnie malują wszyscy dyletanci i dzieci, ponieważ od tonów dopiero zaczyna się malarstwo. Zaczął studyować kolor cieniów, które w owych czasach stanowczo były przeciemniane, bo, poprostu, nieobserwowano ich dość ściśle w stosunku do oświetlenia przedmiotów malowanych. Otóż, cała zasługa Cézanna polegała na traktowaniu cieniów barwnie, zasługa na owe czasy spora, dziś zdawna zdystansowana przez szeregi impresyonistów, o wiele wyżej stojących technicznie.



Beardsley. Climax (z Salomei).

Tymczasm, zagorzali nasi krajowi naśladowcy nietylko kopiują jego zgoła niedołężną formę, ale nawet naśladują rodzaj techniczny kładzenia farb mistrza.

Wcale też nie gorzej udajemy Cézanna od niemców, lub rosyan, ale do czegoż to prowadzi? W jakim więc celu stworzymy jeszcze całe masy obrazów, w stylu obcego nam duchem malarza. Gdybyśmy umieli naśladować którego z istotnie wielkich — dajmy na to — jednego z realistów: Bastien-Lepage'a czy Meissoniera, mielibyśmy pożytek niechybny i powrócilibyśmy może do malowania człowieka, o którym obecnie zapomniano w malarstwie naszem, ku ogromnemu zubożeniu naszej sztuki. Tymczasem, tracąc czas na niesłychanie łatwe imitowanie niedołężnych rzeczy Cézanna, rujnujemy siebie, i, cofając dorobek pół wiekowej zdobyczy, tworzymy tandetę bez żadnego znaczenia i pożytku dla sztuki.

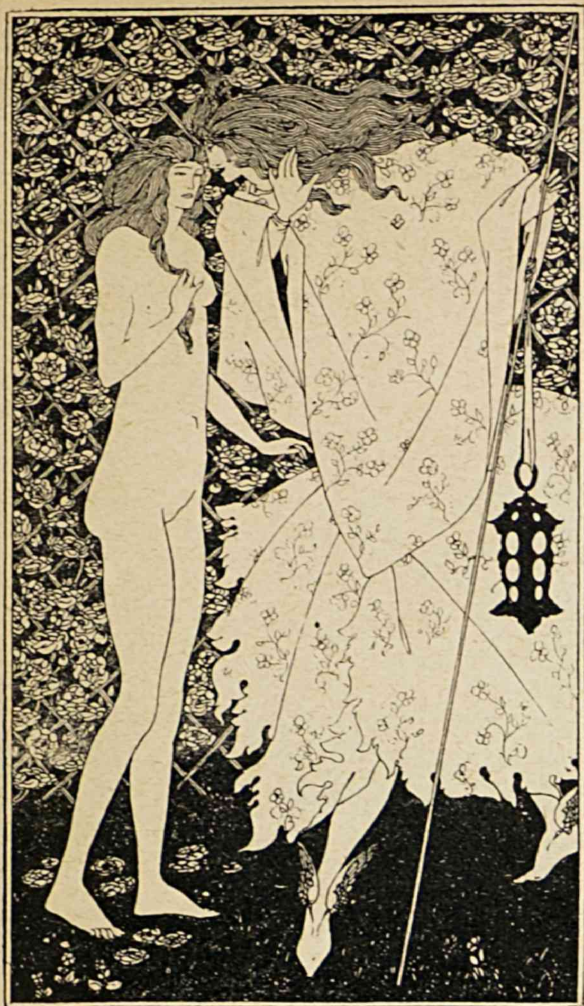


Beardsley. Maryonetki.

Gdybyśmy mogli zawierzyć temu, co się wyczytuje z gazet, trzebaby dojść do rozkosznego przekonania, że sztuka nigdy nie była wszechstronniejszą, głębszą a bliższą swych celów. Żadna bowiem z epok ubiegłych nie mogłaby się poszczycić takim ogromem sił ludzkich, poświęconych sztuce. Ani Grecya, ani Rzym, ani Renesans nawet, nie zgromadził takich mas, takiego mrowia ludzkiego, drepczącego zawzięcie po ścieżkach sztuki. Fabrycznie zorganizowana, zmechanizowana nadprodukcyą — nic jednakże wspólnego niema z istotną twórczością.

Toż samo odnosi się i do nas: Sztuka nasza obecna nie posunęła się naprzód, owszem, zeszła z wielu pozycyi, dawniej zajętych, zeszła z rasowej, świeżej, zdobywczej twórczości na teren dziwacznych popisów, prób nieudolnych i zamiarów bez skutku.

Współczesne, bogato wyposażone wystawy, otwierane w zupełnej zgodzie z kalendarzem sezonowym, zeszły do roli widowisk bardzo drugorzędnych. Czy podobny Salon zwie się „niezależnym“ (co jest fałszem), czy „Ver sacrum“, albo nosi miano „XXII“, to zupełnie wszystko jedno. Są to najmonotonniejsze salony, jakie kiedykolwiek egzystowały na świecie. Z pomocą starych makat, mebli, zebranych z całego świata, tworzy się nastroje wesołe lub tragiczne, przyćmione albo świetlane, ensamble: złote lub melancholij-



Beardsley. Tajemniczy ogród roż.

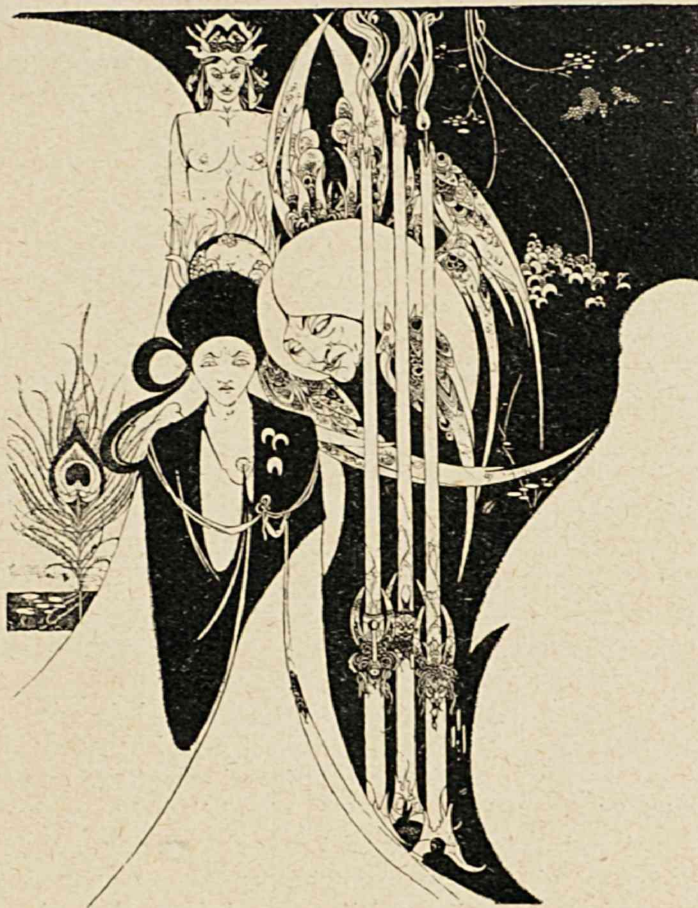
nie srebrne, soczyste lub suche, miłe i tragiczne — zależne od przedmiotu. Oczywiście, wszystko dla oczarowania widza; widz musi uledz i ulega, lżejszy o tyle a tyle franków, marek czy lirów, opuszcza wystawę. Impreza się udaje, ani śladu deficytów, tylko prawdziwej Sztuki niema.

Życie spółczesne musi znów pomódz jednostce twórczej, ona bowiem zawsze była i jest wszystkiem w sztuce.

Myśl twórcza nie może iść zawsze w zgodzie z kalendarzem, nie może stawić się na każde zawołanie imprezy. Natomiast jarmarki sztuki stały się rajem dla wszelkiej przeciętności, dla miernot. Powstał typ sezonowych malarzy, stale obsługujących każdą ekspozycyę, dostawców niezawodnych. Ci przynoszą do zawieszania najdroższe tapety, wytwarzając ową przeciętną szarzyznę wszystkich współczesnych wystaw.

Aby dać plastyczny obraz zupełnego galimatiasu, panującego obecnie w sztuce, dajemy reprodukcyę dwu nad wszelki wyraz i zasługę wielbionych obecnie artystów, zupełnie zresztą przeciwnych sobie tendencyą i uzdolnieniem. Są to: anglik Beardsley, ilustrator i imitator weneckiego drzeworytu i japończyków; oraz Cézanne, wróg wszelkiej formy, apostoł sztucznego prymitywu w barwach.

Władysław Wankie.



Bearsdley. Neofitka.

Ciotka Teod. Wyzewy.

Dobra nowina dla literackiego świata: Teodor Wyzewa otrząsnął się nareszcie z odrętwienia twórczego, które trwało długie lata, dał nowe dzieło, drugie zapowiedział. W ten sposób serya, która zaczęła się Valbertem, a pociągnęła Opowieściami Chrześciańskiemi, idzie dalej. Rzecz znamienna: idzie inaczej. Dotychczas Wyzewa był francuzem, wychowanym na wysokiej kulturze klasycznej, interesującym się zagadnieniami bieżącemi i wiecznemi, — te ostatnie nigdy nie były mu obce, choć nie zawsze je dobrze uświadamiał sobie, — ze stanowiska, powiedziałbym, *czystego człowieka*. Jego pochodzenie polskie a wychowanie francuskie, utworzyło rodzaj typu kosmopolitycznego, o silnem napięciu humanitarnych uczuć, bez żadnego zabarwienia narodowego. To uległo obecnie zmianie. Wyzewa napisał po francusku — polską książkę. Potrójnie polską. Naprzód sięgnął on w niej do czasów najwcześniejszej swej młodości, do lat spędzonych w kraju rodzinnym, do lat dzieciństwa i wychodźctwa, kiedy jeszcze kolegium francuskie w Bauvais nie urobiło jego duszy na modłę obcą. Następnie pokazał w swej książce, ile pierwiastku polskiego zachowało się w jego duszy, tak znamiennie odrębnej od duszy francuskiej, czysto logicznej i niesłychanie praktycznej. Wyzewa — to marzyciel. Marzyciel jednak, który przetrawił w sobie wszystkie elementy cywilizacyi współczesnej i niesie się oto „nad życiem" lotem dziwnie mocnym i pewnym. Ale polską jest książka Wyzewy przedewszystkiem przez jej bohaterkę. Tą bohaterką jest rodzona ciotka Wyzewy, istota realna, Wincentyna Bobrowiczówna, siostra doktora Wyżewskiego, ojca naszego pisarza, niedawno zmarła.



Winc. Bobrowiczówna.

U nas typ takich panien, dyskretnych, użytecznych, cichutkich i pogodnych jest dość znany. W każdym dworze dawniej, a dziś w niejednym jeszcze, spotykają się istoty, wydziedziczone przez życie, z jakiemś wspomnieniem w sercu, podobnem do rany, mniej albo więcej zabliźnionej; często są one śmieszne, czasem złośliwe, czasem trujące, jak złe ziele, nieraz próżniaczki, pasorzytki, nieużytki, wnoszące niezgodę do domów, które im dały gościnę. Jednak częściej wierne, skromne, ciche, pracowite. Między niemi trafiają się wyjątkowe postacie o duszy prostej a mocnej, o charakterze czystym a stalowym. Poprostu — święte. Jedno takie uświęcone życie Wyzewa miał szczęśliwą okazyę poznać zbliska i dał jego opis w książce, wyłamującej się z pod wszelkiej klasyfikacyi, z gruntu oryginalnej, pisanej z prostotą tak bezwzględną, że wydaje się ona szczytem sztuki pisarskiej: nic w niej bowiem sztuki niema.

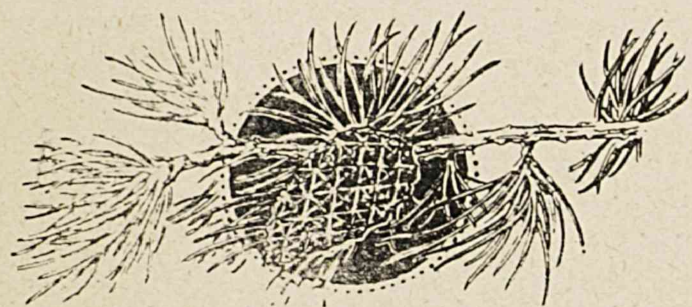
Wincentyna Bobrowiczówna przyjaźniła się w młodości z księżniczkami Lubomirskiemi. Miała młodość, wdzięk i konkurentów. Kiedy wywędrowała ze swym bratem do Francyi, dobrowolnie, chętnie, nawet radośnie przyjęła na siebie wszystkie ciężary prowadzenia biednego domu wychodźcy. Stała się służącą, kucharką, posłańcem, stróżem. Najlepszą, najwierniejszą, najoszczędniejszą ze sług — bez pensyi. Ulokowała się w kuchni z naturalnością, jakby tam było jej „urodzone" miejsce. I to na lat dziesiątki. Nie pretendowała nawet do miejsca przy wspólnym stole. Kiedy młody Wyzewa dorósł, literatem został, do Paryża się przeniósł, ciotka Wincentyna poszła za nim, gospodarować w jego mieszkaniu, — znowu w charakterze służącej.

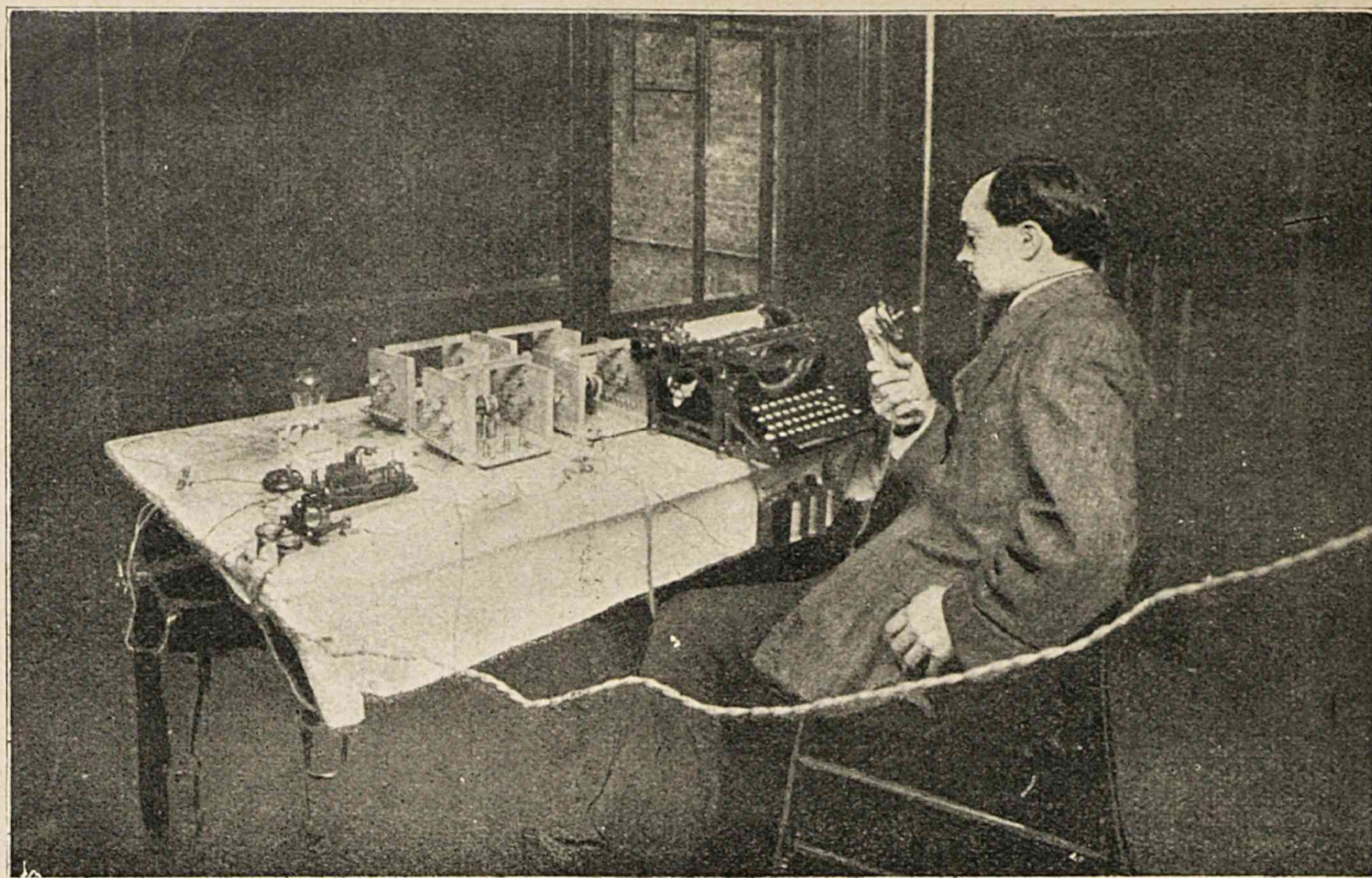
Wszystko to się zdarza. Ale co w tym wypadku jest dziwnem, rzadkiem i nadzwyczajnem, mianowicie to, iż ciotka Wincentyna czuła się szczęśliwą na swem stanowisku i że to ona była w smutnym domu polskiego lekarza we Francyi źródłem pogody, siły, otuchy, pokrzepienia, radości. Czuła się ona tak szczęśliwą przez ciągłe i nieustanne przywiązanie i poświęcenie, że wydała się sobie istotą uprzywilejowaną przez życie i los, i dręczyła się obawami, ażali „na tamtym świecie" nie przyjdzie jej strasznie zapłacić za rozkosze tu doznane. Ciotce Wincentynie jednego potrzeba było tylko do życia: kochania. Kiedy taki przedmiot miłości miała, mogła już żyć i używać na swój sposób, a to znaczyło dla niej: poświęcać się. Szczęśliwy Teodor Wyzewa był tym przedmiotem jej miłości i jej poświęcenia, — a potrzeba było lat, i dojrzałości serca, i pogłębienia umysłu, aby uprzywilejowany ten człowiek zrozumiał, co mu los dał. Ale, pogłębiając się bez ustanku, Wyzewa zrozumiał to w końcu. I na-

pisał książkę o ciotce Wincentynie, która jest najwspanialszym może nagrobkiem, jaki posiadamy. Miłość i żal go stworzyły. Jest to rodzaj ekspiacyi. Jest to rodzaj spowiedzi publicznej z ciężkich grzechów, które jednak Wyzewa szczęśliwie za życia ciotki już zgładził, — ponieważ na stare lata otoczył ją spokojem i dobrobytem. Czy uwierzycie, że te lata były najcięższe dla ciotki Wincentyny? Nie było już dla kogo się poświęcać! Życie więc stało się dla niej bez uroku.

Dziwną jest nowa książka Wyzewy. Do żadnej innej nie podobna. Powieść — historya. Jeżeli ją do czego ma się ochotę porównać, to do żywotów świętych. Są tam rysy, pobożnie a subtelnie uwidocznione, które zdolne są wstrząsnąć do dna całą moralną istotą lepszego czytelnika. Wyzewa odrodził się w swej twórczości artystycznej w potężny prawdziwie sposób. Mamy wrażenie, że zbliżył się oto do jesieni swej, pełnej płodów dojrzałych, soczystych i pożywnych.

A. Pawłowski.





Wynalazca maszyny do pisania mówionego słowa, John B. Flowers, przy pracy.

Maszyna do pisania mówionego słowa.

Skoro wynalazczość ludzka stworzyła już fonograf i maszynę do pisania, nasuwać się musiał niejednemu z wynalazców problem połączenia obu tych kunsztownych aparatów w jeden, któryby wymawiane słowa spisywał odrazu czytelnemi dla wszystkich głoskami. Ale od pomysłu do praktycznego urzeczywistnienia go droga była niezmiernie daleka i najeżona trudnościami. Wszelkie próby nie prowadziły do żadnych wyników; wydawało się niemal, że idea jest wogóle niewykonalna. Bo, istotnie, trudno wyobrazić sobie przyrząd, któryby rozkładał wymawiane słowa na poszczególne głoski, któryby automatycznie wyszukiwał czcionki maszyny do pisania, odpowiadające danym dźwiękom, i wprawiając je w ruch, odbijał na papierze.

Nie mogąc zatem rozwiązać problemu, użyto na razie pośredniej drogi, biorąc do pomocy rękę ludzką, jako pośrednika. Skonstruowano tak nazwane dyktofony, będące udoskonaloną odmianą fonografów. Do aparatów tych dyktowali kupcy i przemysłowcy swoje listy, dziennikarze swe artykuły, autorzy swe dzieła; inny jeszcze model dyktofonów umieszczono w salach parlamentarnych i wogóle w salach obrad. Te zapiski fonograficzne przepisywali potem pisarze maszynowi, nastawiając aparat na dowolną szybkość dyktowania. I to już był postęp, udogodnienie bardzo znaczne, to też dyktofon rozpowszechnił się w dość krótkim czasie, oddając człowiekowi prawdziwe usługi.

Dalszym etapem stał się aparat do pisania stenograficznego, skonstruowany w Ameryce, a nazwany „stenotype". Zaleta tej nowej maszyny do pisania, wypróbowywanej praktycznie zaledwie od dwóch miesięcy, jest specyalne ugrupowanie głosek w ten sposób, że najczęściej używane spółgłoski początkowe umieszczono na t. z. tastaturze pod czterema palcami lewej ręki, spółgłoski końcowe pod palcami prawej ręki, samogłoski w pośrodku do uderzania wielkiemi palcami obu rąk. Nie ma tu wszystkich liter alfabetu; brakujące zastępuje się literami o pokrewnem brzmieniu lub nieistniejącemi w mowie kombinacyami dwóch liter. Szybkość pisania polega na tem, że odrazu wybija się kilkoma palcami całe słowa; wąski pasek papieru, na którym się pisze, przesuwa się automatycznie. W ciągu kilku godzin zaledwie można się przyzwyczaić do czytania „stenogramu", który od zwykłego pisma nie bardzo się różni. Wadą natomiast stenotypu jest to, że dla każdego języka trzebaby tworzyć specyalny układ liter, a przedewszystkiem nie wiadomo jeszcze, czy dla języków bardziej skomplikowanych stworzenie takiego układu będzie wogóle możliwe.

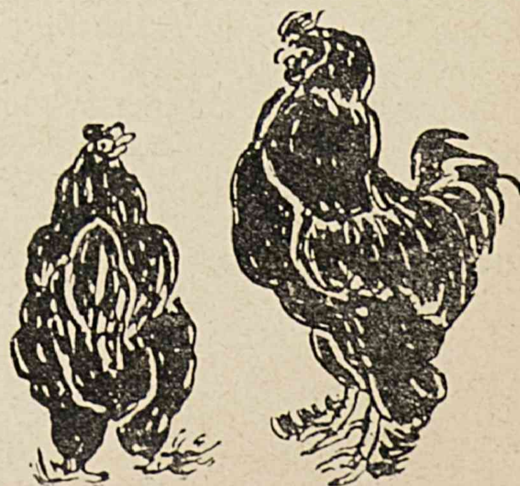
Zanim jeszcze stenotype został ostatecznie wypróbowany w zastosowaniu praktycznem, amerykański inżynier, John B. Flowers, wynalazł sposób bezpośredniego przenoszenia mówionych słów na papier, o co nadaremnie kusiło się wielu jego poprzedników. Istota wynalazku polega na znanej dawno zasadzie, że każda głoska, podobnie, jak każdy złożony ton muzyczny, nie brzmi zupełnie czysto, lecz towarzyszą jej pewne tony poboczne, które właśnie nadają jej specyalny charakter. Każdy z tych tonów ma oczywiście inną ilość drgań. Wynalazca usiłował najpierw wyzyskać tę właściwość w drodze czysto mechanicznej, ale w ten sposób mógł zapisywać tylko samogłoski i spółgłoskę: „*p*". Wówczas zastąpił mechaniczne aparaty odbiorcze elektromagnetycznemi.

Przyrząd jest zbyt skomplikowany, aby niefachowiec mógł zrozumieć jego konstrukcyę. Główną jego częścią składową jest mikrofon, oraz szereg przerywaczy prądu t. zw. „*relais*". Każdy z tych przerywaczy jest nastrojony na inny ton, odpowiadający długości fal dźwiękowych poszczególnych głosek; gdy dana głoska zabrzmi w mikrofonie, odpowiedni przerywacz prądu wprawia w ruch odpowiednią dźwignię maszyny do pisania i wybija głoskę na papierze. Aby uzyskać odstępy pomiędzy słowami, zmienił wynalazca konstrukcyę maszyny do pisania w ten sposób, że papier przesuwa się bez przerwy na walcach przy pomocy elektryczności.

Wynalazek Flowersa jest na razie tylko teoretycznem rozwiązaniem problemu; do praktycznego urzeczywistnienia pomysłu dosyć jeszcze daleko. Zwłaszcza język angielski nastręcza w tym kierunku olbrzymie trudności, skutkiem tego, że inna jest pisownia słów, a inna całkiem wymowa. Wyrazy takie np. jak: *to, too, two,* nie różnią się od siebie w skrypcie maszynowym, czytelnik widzi zawsze tylko: „*tu*" i musi się domyślać znaczenia. Oczywiście niema liter dużych i małych, nie ma też znaków pisarskich, co zwłaszcza utrudnia odczytywanie. Wymawiać trzeba bardzo wyraźnie: każda połknięta głoska, każda głoska, wymówiona niedokładnie, odbija się w skrypcie błędem. To też dzisiaj zapiski, dokonane przy pomocy nowej maszyny, wyglądają wprost na jakieś kryptogramy, które trzeba z wysiłkiem odcyfrowywać, niby rebusy.

Sam Flowers przyznaje, że aparat jego jest jeszcze bardzo niedoskonały. Nie ustaje jednak w dalszej pracy i nie traci nadziei, że w niedalekiej przyszłości zdoła swą maszynę tak udoskonalić, by nadawała się do praktycznego użytku. Bądź co bądź, droga właściwa została odnaleziona, teraz więc dotarcie do ostatecznego celu będzie już nieporównanie łatwiejsze.

St. I.



O aniołach-stróżach, albo wróg guwernantek.

Głośny autor *„Półdziewic"*, p. Marcel Prevost, rzucił na półki księgarskie nową powieść, która dopiero w siedemnastym tysiącu egzemplarzy dotarła do Warszawy, zatrzymywana w Paryżu przez wrzawę, jaką wywołała, powieść, zatytułowana *„les Anges gardiens"*. Ten pokaźny, bo przeszło czterysta stronic liczący tom, został poświęcony sprawie wychowania zamożnych dziewcząt francuskich przez stałe, nieodstępne, razem z uczenicami mieszkające guwernantki-cudzoziemki. Wpuszczanie do domu, niejako do rodziny, i to z zezwoleniem na nieograniczone wpływanie na dziecko, osoby obcej, odmiennej rasy, narodowości, niższej sfery, nieznanej z charakteru — uważa Marcel Prevost za absurd i klęskę. Na jakie nieszczęsne ewentualności narażają się francuskie rodziny, wynajmujące do córek różne niemki, włoszki, angielki, a nawet belgijki, zostało wyłożone w ostatnim romansie autora *„Lettres à Françoise"*, z jaskrawością niemal dziennikarską.

Na str. 333, prefekt policyi, Lehoux (czytaj Lepine), tak peroruje pod adresem podsekretarza stanu, któremu guwernantka jego córki wykradła niezmiernie ważny dokument ministeryalny, poczem uciekła za granicę.

— Pomyśl pan! Dziewczyna lat osiemnastu do dwudziestu, dziewczyna o pewnej kulturze, o pewnem wykształceniu, porzuca swoją rodzinę i swoją ojczyznę, aby zarabiać na chleb w Paryżu: to jest anormalne. Tak, to jest anormalne, ponieważ opuszczanie kraju w tym wieku jest dla niej pełnem niebezpieczeństw i uczciwa rodzina zgodzi się na to jedynie w razie ostatecznej konieczności. Na dziesięć wypadków znajdzie się jeden, w którym uczciwi rodzice po namyśle wyszlą za granicę swoją córkę rozsądną i odważną, a dziewięć wypadków, w których córka opuściła swoich rodziców samowolnie, czy to dlatego, że w rodzinie było trudno wytrzymać (powtórny ożenek ojca, złe prowadzenie się matki, skandal), czy to z powodu przygody miłosnej. W tych dziewięciu wypadkach panna zgromadzi taką ilość kłamstwa, ażeby nikt nie mógł dotrzeć do jej rodziny: fałszywe nazwisko, fałszywe miejsca urodzenia, fałszywe świadectwa... Cudzoziemcy są obowiązani zgłosić swą identyczność? Ależ, ile matek czy ojców rodzin, przyjmując nauczycielkę, zadaje sobie trud sprawdzenia deklaracyi cudzoziemki?... I oto dlaczego powiadam, że wy jesteście winni, wy, zapewne, znajdują się jednostki bezwzględnie uczciwe, ale śród której burżuazya bogata, wy, światowcy. Ta kategorya dziewcząt, śród której, większość, będąc, przez swoje zajęcie, oderwana od własnej grupy socyalnej i rodzinnej, nie podziela już moralności swojej rodziny, swojej grupy, ta kategorya dziewcząt jest nadto tą, co do której jest najtrudniej mieć wiadomości ścisłe i szczere — wy dokonywujecie wyboru z beztroskliwością zupełną...

— Oh! — zaprzeczył Croze.

— Niema żadnego „oh!", które byłoby coś warte. Jeżeli postać cudzoziemki wam się spodoba, jeżeli pierwsze zetknięcie jest korzystne, a zwłaszcza, jeżeli się zaczynacie niecierpliwić poszukiwaniami, — unikacie wywiadów, w obawie, że was zmuszą do nowych poszukiwań! A kiedyście już z tą lekkomyślnością dokonali wyboru w tem środowisku zasadniczo podejrzanem i prawie niemożliwem do skontrolowania, co wówczas powierzacie osobie wybranej? Właśnie to, co macie najdroższego, najbardziej kruchego (fragile) — waszą córkę"!

Wysłuchawszy tego wytrysku obywatelskiej elokwencyi, wice-minister Croze zauważył, wstając:

— Zatem, trzeba się wyrzec dla naszych dzieci obcych języków?

— Nie byłoby to zło tak znów ogromne.

P. Marcel Prevost w *„les Anges gardiens"* daje cztery typy guwernantek, z których jedna jest o złotem sercu dziewczynka, ubóstwiająca swoich chlebodawców i dzieci powierzone jej opiece (belgijka), druga piękną, o zdrowych poglądach włoszka, trzecia arcy-ambitna angielka, a czwarta przewrotna, sprytna, bez skrupułów, niemka. Wszystkie cztery przyczyniają się do unieszczęśliwienia rodzin, w których „było im tak dobrze", w których traktowano je, niby krewne.

W belgijce, dzieweczce, przypominającej Madzię z „Emancypantek" Prusa, zakochał się pan domu, wzajemnie kochany przez młodziutką guwernantkę pierwszą frenetyczną miłością i oboje uciekają do Ameryki.

We włoszce zakochał się zniewieściały, rozpieszczony, o naturze artystycznej „syn domu" i chce pannę Ceroni poślubić, co wywołuje, powszechnie praktykowany w takich wypadkach skutek: wydalenie guwernantki. Nie należy przepominać, że inteligentna i wykształcona włoszka wywierała zbawienny wpływ na zbyt wyrafinowanego młodzieńca.

Niemki zapragnął krwisty wiceminister wojny, wpuścił ją tedy do swoich apartamentów — i został okradziony. Niemka zabrała mu z biurka dokument tajemny a niepospolitej wagi.

Angielka tak opanowała jedyną córkę państwa Haumont-Segré, że ta się odwróciła od rodziców, zakochana w swojej imponującej guwernantce.

Opowiadanie powieściowe toczy się wartko, postacie, będące aktorami tej powieści, występują przed naszą wyobraźnią plastycznie. Autor czyni wiele subtelnych spostrzeżeń, ale, zwłaszcza pod koniec książki, z historyka obyczajów czasów dzisiejszych, przemienia się on w publicystę, coraz zacieklej podkreśla swoją tezę, coraz się staje jednostronniejszy, krzykliwszy, melodramatyczniejszy, aż wkońcu grzeszy prawie arogancyą w głoszeniu swoich przekonań.

Po przeczytaniu *Anges gardiens* możnaby mniemać, że stanowisko guwernantki, to słodki raj doczesny; niemal zaczynamy się dziwić, że panie domu nie zamienią się z guwernantkami na ich stanowiska. Guwernantka jest centralnym punktem życia rodzinnego, z uwielbieniem i miłością patrzy na nią pani, pan, panienka, panicz. Ona decyduje najważniejsze sprawy, bez jej udziału nic się w domu nie dzieje, jest ona bliższą istotą swojej wychowanki, niż jej własna matka, a nieraz bliższa bywa, niż żona, i krwistemu *pater familiasowi*. Z powieści p. Marcel Prevost'a możnaby wywnioskować, że my rządzimy światem, a nami guwernantki. Że wielka burżuazya (dzietna) po to tylko istnieje, aby dobrze było na świecie guwernantkom. Czy p. Marcel Prevost nie przesadził? Czy może, wsiadłszy na tezę, niby na wierzchowca, nie został przez nią zbyt daleko poniesiony, niby przez konia, którym nie bardzo potrafił kierować, dawszy mu niebacznie za mocną ostrogę? Mnie się nawet zdaje, że p. Marcel Prevost spadł ze swego konia — chociaż o tem nie wie.

Ach, ci lekarze obyczajów! Wytrzeszczają oczy, jak puhacze, a widzą tylko jednem zezowatem okiem. Nie, panie Prevost, guwernantką jest tak samo trudno być, jak... guwernerem.

Żydzi, którzy, zaiste, umieją przeklinać, przeklinają swych wrogów życzeniem: bodajeś cudze dzieci uczył! Tedy według zdania najtrzeźwiejszego z narodów, guwernantki są kastą przeklętą.

Gdyby p. Prevost był trochę mniej stronny, byłby może dostrzegł, że rola guwernantki w zamożnym domu należy do najniewdzięczniejszych. Guwernantka jest kimś, kogo się mają słuchać wychowańcy i służba, a kto jest zarówno przez państwo, przez dzieci i przez służbę uważany za coś w rodzaju służby. Stanowisko domowej guwernantki przypomina bajkę o nietoperzu, który przez myszy przestał być uważany za mysz, a przez ptaki nie został uznany za ptaka. Państwo co chwila przypominają biedaczce, że nie jest panią, a służba czyni to samo w sposób znacznie dokuczliwszy. W pewnym domu lokaj czyhał przy obiedzie na każde położenie przez guwernantkę łyżki, czy widelca, aby natychmiast sprzątnąć jej z przed nosa jedzenie. Strofowany stale odpowiedział: „Myślałem, że pani już skończyła". W wielu domach guwernantce nie wolno wchodzić do salo-

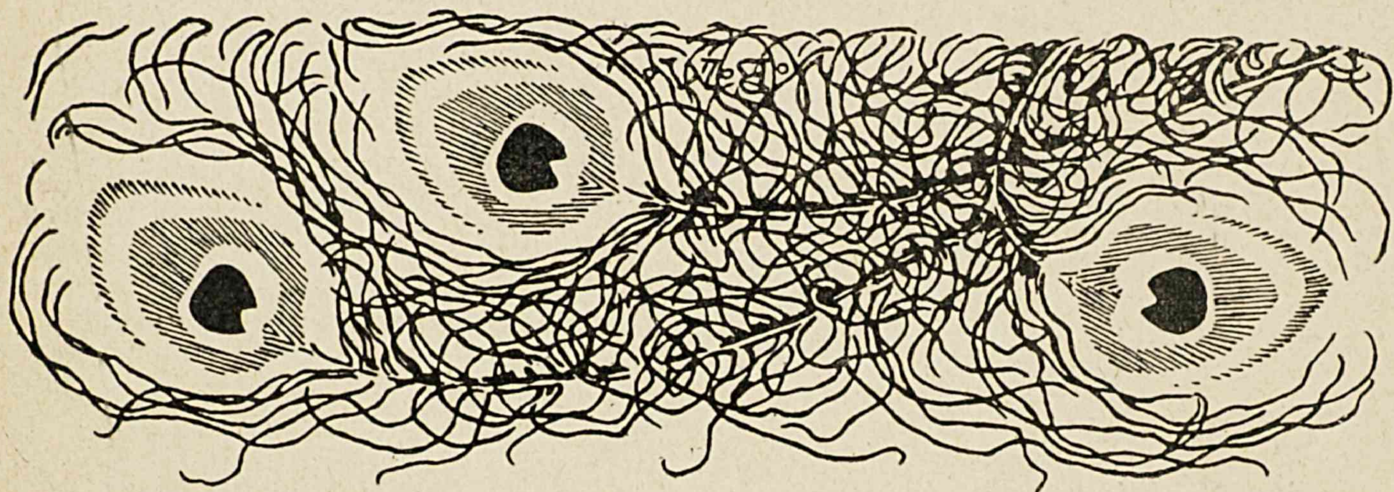
nu, nie wolno się tak a tak czesać, tak a tak ubierać, nie wolno nikogo przyjmować... Guwernantka jest niewolnicą, która niema czasu ni miejsca na życie własnem, osobistem życiem. A dzieci, poddane jej dozorowi, posiadają zawsze wybitny talent skrobania po nerwach. Po mału (albo raczej prędko) rozwija się w guwernantce choroba nerwów, i — histerya. *Glissons, n'appuyons pas.*

Tej strony życia guwernantki p. Marcel Prevost nie widzi. Autor *„Confession d'un amant"*, czytany nietylko we własnej ojczyźnie, wytaczając pogromicielskie działa przeciw guwernantkom niemkom, włoszkom i angielkom, niebacznie postąpił i w stosunku do bardzo licznej grupy swoich czarownych rodaczek, które szukają ciężkiego kawałka chleba guwernantek po za granicami Francyi. Gdyby wszystkie cztery bohaterki „Aniołów-stróżów" nazwać francuzkami, a teren opisanych wypadków przenieść z Paryża do Wiednia, Warszawy albo Petersburga, czy ta powieść wydałaby się wówczas p. Prevost'owi równie słuszną, jak mu się wydaje teraz?

Nie sądzę.

P. Marcel Prevost, będąc zapamiętałym paryżaninem, oczywiście nie wie, że jest do napisania powieść *„O francuskich aniołkach - stróżach w Warszawie"*, powieść zajmująca, o wielu stronicach smutnych, o wielu wesołych, o niejednej stronicy pełnej poezyi, o niejednym rozdziale głęboko wzruszającym, powieść nie tak... okrutna, jak powieść autora *„Półdziewic"*. P. Marcel Prevost o tem nie wie, a szkoda.

Wacław Grubiński.



Nasi powieściopisarze o sobie.

Ankieta „Świata".

Stanisław Przybyszewski.

Twórca ekstatycznej prozodyi „Nad Morzem", poeta „Odwiecznej baśni", Stanisław Przybyszewski, należy do rzędu czołowych pisarzy w naszem współczesnem piśmiennictwie. Dramat polski zawdzięcza mu, obok Wyspiańskiego, najgłębsze swoje objawienia; są oni przecież pierwszymi pisarzami, którzy posunęli sztukę naszą sceniczną poza rodzajowość, w sferę walk ideowych. Powieść też bogato wypowiada twórczą duszę, autora „Homo Sapiens". Dał przecież już trzy trylogie, dał „Dzień Szatana", dał owe przedziwne stronice miłości kazirodczej, co rozrasta się w potworną, Ropsowską wizyę, w jego „De profundis".

Każda wogóle książka Przybyszewskiego wywołuje szerokie echo. Wpływ jego na pokolenia najmłodsze był swojego czasu ogromny. I to nietylko u nas. Niemcy i Rosya składają mu też wiele wawrzynów. Studya o jego działalności mnożą się z rokiem każdym, ciekawą więc jest rzeczą, jak sam on określa źródła swoich twórczych natchnień.

Przybyszewski mieszka obecnie w Kochel, w Alpach Bawarskich. Na ankietę więc naszą odpowiada listownie, co następuje:

„Nie znam większej przykrości nad tę, gdy jestem zmuszony szerszą publiczność moja osobą zaprzątać. Tym razem jednakowoż chętnie biorę udział w ankiecie, bo nie chodzi tu o mój stosunek do publiczności, tylko o drobny przyczynek do psychologii twórczości, a ankieta może przyszłemu analitykowi dostarczyć do zbadania tej „terra incognita" dużo poważnego materyału.



Stanisław Przybyszewski (podpis)

W jaki sposób proces twórczości się we mnie odbywa, nad tem się teraz rozwodzić nie bedę, bo przygotowałem dla „Świata" osobny artykuł pod tyt. „Przyczynek do psychologii twórczości", który w najbliższym czasie redakcyi „Świata" nadeślę. Na razie to jedno powiedzieć mogę, że wszystko odbywa się podświadomie, że żadne myślowe konstrukcye na nic się nie zdadzą, przeciwnie: są tylko przeszkodą i ciężkiem utrapieniem w twórczej pracy.

Ile razy postawiłem sobie jakąś myślową „tezę", wszystko szło na opak, trzeba było wszystko zburzyć, albo też całkiem coś innego pod ręką wyrastało.

Czasami artyście się zdaje, że to, lub owo chciał świadomie w swym tworze dać... Naiwna autosuggestya! Musiał to dać, do czego był zmuszony wewnętrzna, nieświadomą siłą i na tem koniec.

Tworzenie jest możnościa miewania wizyi, jak trafnie powiedział Zeyer.

Piszę jednym tchem, a jeżeli mi się coś w kompozycyi popsuje, nie jestem zdolen ani poprawiać, ani przerabiać: muszę pisać ponownie. Mój jednoaktowy dramat „Goście" pisałem pięć razy — nie poprawiałem, nie przerabiałem, ale za każdym razem na nowo pisałem.

Bywa, że czasami powieść lub dramat już w połowie skończony, a tu nagle lokomotywa z szyn wyskakuje i od nowa trzeba się podjąć ciężkiego trudu.

Jeżeli mi ktoś, albo coś nagle w pracy przerwie, wtedy wszystko przepadło. Muszę przerwać pracę, niejeden, dużo obiecujący utwór, spoczywa w mojej tece, a nie jestem w stanie do rozpoczętej pracy powrócić.

Jak już utwór ukończony, nic nie dodaję, nic nie zmieniam, zdaje mi się, że już nic więcej nie napiszę.

Pracuję w długich odstępach i to przeważnie w lecie, w najwięcej upalnych miesiącach: w Lipcu i Sierpniu — dawniej tylko nocami, teraz, od kilku lat, przeważnie w południowych godzinach, aż do zmroku.

W dużych miastach pracować nie jestem zdolen. Mimo, że w Monachium mamy mieszkanie w zacisznej i spokojnej ulicy, to już sama suggestya, że opodal o 10 minut wre i kipi wielkomiejskie życie, nie daje mi spokoju do pracy: wszystko, com w ostatnich latach stworzył, powstało w małem, przepięknem, średniowiecznem miasteczku: Rothenburg ob der Tauber, lub też nad pięknem jeziorem Kochel w Alpach Bawarskich.

Twórczo pracować mogę dziennie najwyżej pięć godzin, i to w silnem naprężeniu, i wątpię, czy wo-

góle u jakiegoś artysty napięcie twórcze dłużej trwać może.

Podczas pracy palę mnóstwo papierosów i piję litrami czarną kawę. Legenda o podniecaniu się alkoholem jest idyotycznym i błazeńskim wymysłem.

Podczas pracy niweczy alkohol związki myślowe, a ilekroć razy próbowałem podniecić się w pracy alkoholem, musiałem na drugi dzień manuskrypt do kosza wrzucić.

Natomiast zbawienną rzeczą jest alkohol po ukończonej pracy: rozprzęga mózg, który pragnie gwałtownie dalej pracować, i ani spocząć, ani spać nie pozwala.

Myślę tylko rano, gdy z łóżka wstanę, bo leżąco nie jestem w stanie myśleć. Zwykle chodzę kilka godzin po pokoju, robię w ten sposób parę mil dziennie i muszę zwykle moich współlokatorów prosić, by mi na to pozwolili, bo nie każdy znosi nad sobą to bezustanne krążenie.

Czytam zwykle, gdy pracę dzienną ukończę i to bardzo mało. W toku pracy czytanie mi przeszkadza. Czytam wtedy tylko, gdy nie pracuję. Stale atoli czytuję polityczne gazety, bo niezmiernie mnie zajmuje bieżąca polityka i — sprawy kryminalne.

Autorów, w których utwory bezustannie i zawsze z nową rozkoszą wczytywać się mogę, jest niewielu: Kasprowicz, Edgar Poë, Barbey d'Aurevilly, Huysmans, Ryszard Dehmel, Verlaine, Dostojewskij, de Coster... pozatem cenię wysoko kilku artystów polskich i mam mnóstwo ulubionych książek, a z tych, najulubieńsze z zakresu okultyzmu.

W ciągu pięciu lat przestudyowałem prawie wszystko, co o czarach, czarnoksięstwie i czarownicach było wogóle, począwszy od XV-go wieku, napisane, ale do żadnego rezultatu nie doszedłem, a cały przezemnie zgromadzony materyał czeka czasu, w którym na nowo się w nim rozejrzę. Z szkiców do historyi czarownicy pozostał nędzny czerep w postaci książczyny p. tyt. „Synagoga Szatana".

Oskalpowała go doszczętnie cenzura krakowska i nietylko krakowska.

Snu potrzebuję bardzo dużo. Zwykle sypiam 12 godzin dziennie, a często i więcej, gdy przez dłuższy czas intensywniej pracuję. A spać mogę w każdej porze i o każdej godzinie, wystrzegam się jednakowoż snu po południu, który mnie rozdrażnia. Jem przeważnie lekkie potrawy, lubię jarzyny wszelkiego rodzaju i owoce, mięso prawie że z konieczności.

I czuję się czasem sportsmenem, gdy z żoną moją całemi godzinami wiosłuję wzdłuż i wszerz po jeziorze Kochelskiem (7 mil kwadratowych; nic dziwnego, że ten sport tak lubię: urodziłem się i wychowałem o kilka kroków od jeziora Gopła.

Najlepszym i najmilszym sposobem odpoczynku jest mi rozmowa z moją żoną Jadwigą, dla której na tem miejscu wyrażam głęboką wdzięczność.

Zapewne podpadły ogólnej uwadze poświęcanie jej moich dzieł.

Ale te dedykacye były nietylko aktem miłości i przywiązania — były czemś innem jeszcze: długiem wdzięczności artysty dla kobiety, która przy swojej wysokiej kulturze artystycznej wszystko, co tworzę, razem ze mną przeżywa, niezwykłą intuicyą w lot odgaduje, jak w danym razie linje tworu poprowadzić przynależy, a często jednem słowem więcej mi daje, aniżelibym był w stanie najusilniejszem myśleniem wykombinować.

Nieznany autor „Parakleta" poświęcił ten piękny swój dramat nieznanej kobiecie temi słowy:

„Wszystkom wziął z Twej duszy, i z wdzięcznością Ci oddaję"...

I temi słowy składam mej żonie, Jadwidze, najgłębszy hołd — tej, która mi tak nieskończenie dużo dała i daje".

Cz. Kals.

Przed „awansem" Chełma.

Niedawno na tem samem miejscu, ilustrując wrażenia i nastroje Siedlec, wobec spodziewanej lada chwila „degradacyi" miasta gubernialnego na powiatowe, powiedziałem w ostatecznych wnioskach, że Siedlce powiatówki się nie boją. One z tej degradacyi nic sobie nie robią, bo wierzą w przyszłość — lepszą przyszłość.

Teraz, kiedy z kolei mam parę słów powiedzieć o Chełmie, który — znowu lada chwila! — czeka „awansu", zacznę od stwierdzenia zupełnie podobnego objawu: Chełm z blizkiej nominacyi nic sobie nie robi.

Zdawałoby się, że jest to zjawisko dość dziwne. Bo i jakże! Typowa prowincyonalna „dziura", stworzona (dokładniej: zbudowana) na obraz i podobieństwo wielu Kocków czy Łysobyk, mogąca poszczycić się jedynie ładnem położeniem górzystem — ta prowincyonalna „dziura" ma dostąpić tak wielkiego zaszczytu, jakim jest ostentacyjne i szumne pasowanie na gród gubernialny. I nie cieszy się z tego?! I nietylko nie cieszy się, ale jeszcze poprostu nic sobie z tego nie robi! — Zjawisko, zdawałoby się, dość dziwne.

Ale jeżeli się wejrzy w głąb życia Chełma, trzeba będzie przyjść do wniosku, że jednak w tej obojętności niema nic dziwnego.

Tutaj winienem umieścić mały nawias, konieczny dla uniknięcia możliwych nieporozumień. Mówię o Chełmie, mówię wyłącznie o mieście samem, o nastrojach, panujących wśród mieszkańców tego — jeszcze powiatowego — miasta guberni lubelskiej. Chełmszczyzna, cały szmat „wyodrębnionej" i wyrzuconej poza nawias Królestwa ziemi, z jej wierzeniami i pojęciami — tak zrozumiana Chełmszczyzna, nie jest obecnie przedmiotem mojego opowiadania. O Chełmie samym, tylko o mieście mówię w tej chwili.

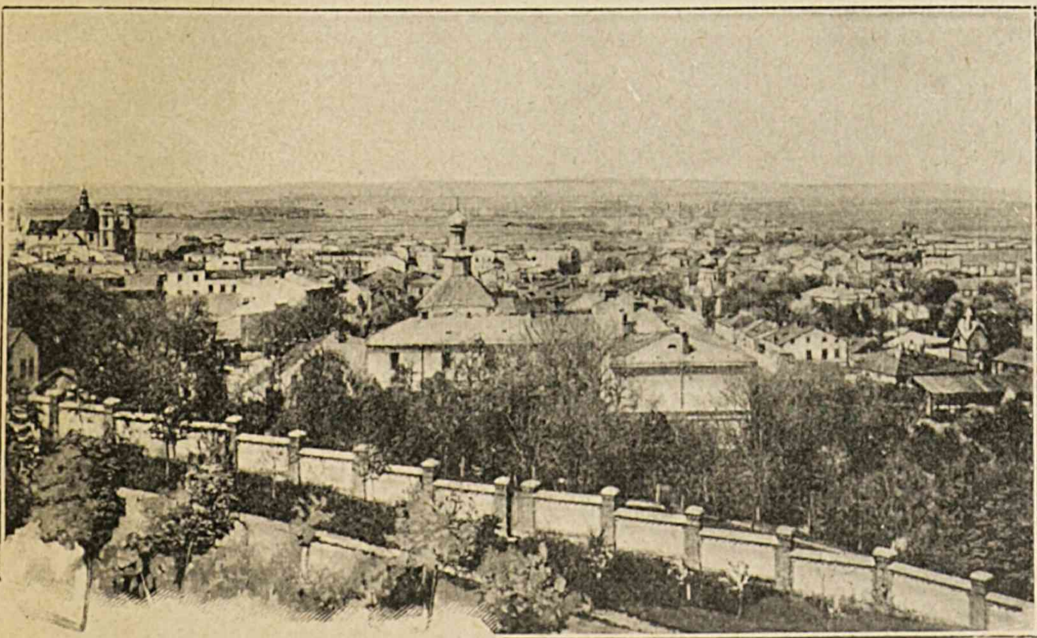
Otóż w tym Chełmie właśnie próżnobyśmy szukali zachwytów, czy choćby tylko zwykłej radości z powodu przeniesienia guberni z Siedlec.

Czem wytłómaczyć to, aż nadto widoczne i wyraźne, zjawisko?

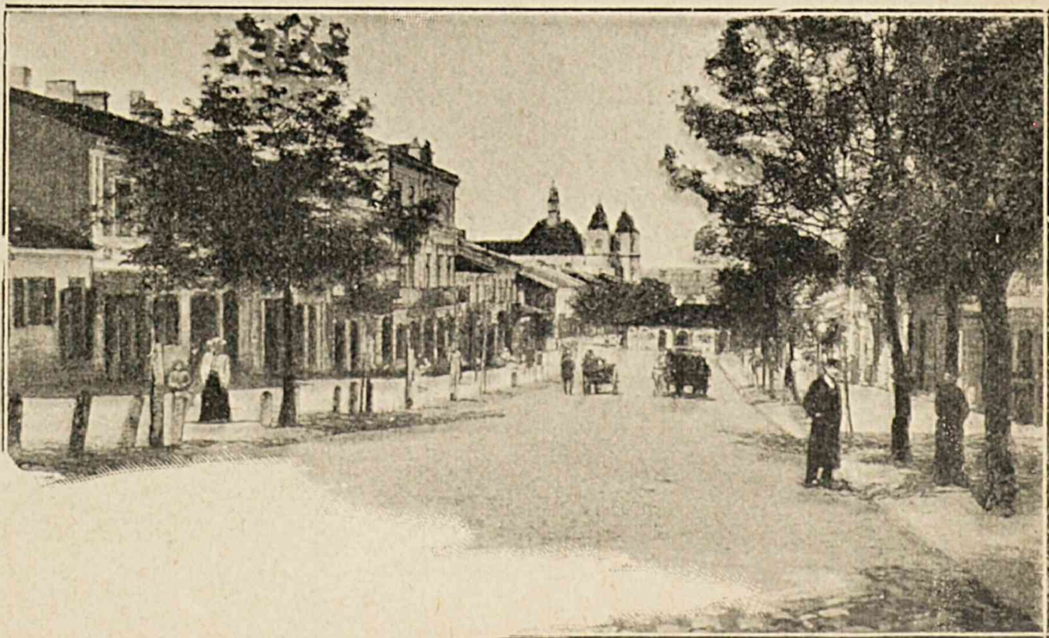
Tu nasuwa się mimowoli porównanie z Siedlcami. Tak, jak Siedlce, aż do ostatniej chwili nie wierzyły w możliwość szybkiego i łatwego przeniesienia guberni, taksamo Chełm aż dotychczas prawie zdaje się w to również wierzyć nie zupełnie. Wprawdzie, przejeżdżał już parę razy do Chełma siedlecki gubernator, oglądał miasto, badał grunt, nawet wynajął mieszkanie dla siebie i dla różnych gubernialnych urzędów, jednakże mieszkańcy Chełma na tę gościnę i na te już dokonane fakty patrzą z rezerwą. „Wynająć mieszkanie łatwo, zerwać kontrakt także łatwo — — przeprowadzić się naprawdę i na dobre, trudniej".

Czy w tem sceptycznem twierdzeniu jest pewna doza racyi?

Niedawno, zdaje się, czytałem w jakiejś gazecie o charakterystycznym bar-



Ogólny widok Chełma.



Chełm. Ulica Lubelska.

dzo fakcie. Oto w dalekiej syberyjskiej gubernii sąd okręgowy ulokował się w wagonach kolejowych, gdyż — pomimo zatwierdzonych dla tej gubernii etatów sądowych — okazało się, że dana miejscowość jest prawie że pustkowiem. Może trochę przesadziłem, może zawiodła mnie pamięć w powtórzeniu szczegółów, ale coś bardzo podobnego istotnie miało miejsce. Otóż w taki sam, mniej więcej, sposób przedstawia się sprawa przenosin gubernii z Siedlec do Chełma.

Na papierze jest już wszystko, albo prawie wszystko — na gruncie niema nic, albo prawie nic.

Chełm dotychczas jeszcze nie przygotował się należycie do przyjęcia czekającego nań zaszczytu. Dość powiedzieć, że gubernator siedlecki wynajął sobie skromne mieszkanko (nb. za 1800 rb.) gdzieś przy rogatce miejskiej, na zupełnie przeciwległym krańcu miasta wynajęto mieszkania dla urzędów gubernialnych — słowem widoczny zupełnie brak planu, widoczne nieprzygotowanie. Słyszeć można było nieraz o rozpoczętej już budowie własnych gmachów rządowych, o tem, że „wszystko jest w porządku" — tymczasem nawet ziemia do postawienia fundamentów jeszcze nie przygotowana i wszystko jest coprawda „w porządku", ale w tym dawnym, starym, „powiatowym porządku".

Obywatele miejscy, którzy mogliby w oczekiwaniu napływu nowych mieszkańców wziąć się raźno do budowy gmachów, jednakże do przedsiębiorstw takich się nie biorą. Podnieśli tylko komorne, wyczuwając, że teraz jest właśnie pora do znęcania się nad lokatorami. To też lokatorzy jęczą pod śrubą wygórowanego nad miarę komornego i... złorzeczą „awansowi". (Mały przykład wysokości cen mieszkaniowych: sklepik, a raczej kącik sklepowy, przy ulicy Lubelskiej, 4 łokcie długości i 2 szerokości, kosztuje obecnie 500 rb. rocznie!).

A jednak, przecie już lada chwila projekt chełmskiej gubernii ma stać się naprawdę ciałem! Tylko ciało to nie będzie jeszcze całkowite; będzie mu brakowało wielu składowych a nieodzownych do egzystencyi części.

Więc zewnętrznie Chełm jest ciągle jeszcze takim, jakim był dotychczas: z czekającego nań zaszczytu nic sobie nie robi.

A po za tem? Co myślą, czują i robią mieszkańcy powiatowego Chełma?

Przemysł w Chełmie można powiedzieć, że nie istnieje. Fabryk niema, ruch handlowy nieznaczny. Jedno tylko stowarzyszenie współdzielcze polskie, p. n. „Pomoc" robi niezłe obroty, bo sięgające 80,000 rb. rocznie. Prócz niego— jak we wszystkich chyba naszych miasteczkach prowincyonalnych—cały handel Chełmaześrodkowany jest w licznych sklepikach i kramikach żydowskich.

Czy gubernia ożywi ten ruch? Czy powstaną jakieś nowe instytucye przemysłowe, nowe wielkie sklepy? — Rzecz bardzo wątpliwa. Wraz z przeniesieniem gubernii napłynie do Chełma nowy (ale bynajmniej nie nieznany) zastęp mieszkańców. To urzędnicy instytucyi gubernialnych z rodzinami. Żywioł to dla rozwoju handlu i przemysłu mało wartościowy. Skromnie uposażeni, zawsze w długach — urzędnicy nie wywrą dodatniego wpływu w tej dziedzinie.

Zaś ruch przyjezdnych, ciągnących do nowych urzędów gubernialnych w sprawach majątkowych, osobistych itp., choć niewątpliwie wzrośnie, jednakże nie wpłynie w znaczniejszy sposób na życie miasta. Przynajmniej dotychczas niema żadnych zapowiedzi tych wpływów.

Ruch przyjezdnych — to w pierwszym rzędzie hotele, restauracye, kawiarnie. Hotele (nazwijmy te zajazdy żydowskie dla większego zaszczytu hotelami), już są, są oddawna; nowe nie przybywają, stare się nie doskonalą. Restauracye (nazwijmy dla wyżej przytoczonych powodów zwykłemi szynkami, restauracyami) są również nie myślą o zmianach. A wszystko to stoi na poziomie typowo prowincyonalnych, powiatowych miasteczek. Niema tu żadnego ruchu przygotowawczego, nikt nikogo nie myśli witać, ani przyjmować, nikt nikogo się nie spodziewa.

A przytem przedstawicele ruchu handlowego w Chełmie mają poważne obawy. Obawy nawet dość uzasadnione. Oto, podobno, istnieje projekt wzniesienia nowych rządowych gmachów dla biur gubernialnych na gruntach, stanowiących własność miasta, a odległych od tego miasta o dwie wiorsty blisko. Podobno, ten właśnie projekt ma być wprowadzony w życie.

Gdyby tak było w istocie, mieszkańcom obecnego Chełma groziłoby zupełne zapomnienie. Wszystko skupiłoby się tam koło tych nowych gmachów rządowych — tam powstawałyby przypuszczalnie nowe sklepy, powstałoby nowe miasto — — o ile, rzecz prosta, zjawiliby się również nowi przedsiębiorcy. A w takim razie Chełm stary, obecny, nie zmieniłby się wcale. A raczej owszem — zmieniłby się: zamarłoby wówczas w nim to wszystko, co teraz jeszcze żyje: zamarłoby — jako w niepotrzebnej, zapomnianej mieścinie.

Można bez przesady chyba powiedzieć, że na zapytanie: „co się u was po wprowadzeniu gubernii zmieni?"—wszyscy mieszkańcy Chełma mają już gotową jedną odpowiedź: „Będziemy płacili większe podatki".

Oczywiście. Z chwilą przemianowania miasta powiatowego na gubernialne i podatki również przemianowane będą na gubernialne. I oto poważnie niepokoi zainteresowanych mieszkańców Chełma. „Nie zyskamy nic, a stracimy wiele z pewnością".

To widmo możliwych strat i bardzo wątpliwych korzyści odbiera humor miastu i przesłania całkowicie wszelką radość. Chełm nie cieszy się ze swej przyszłości — raczej martwi go ona. A jeżeli to ostatnie powiedzenie jest za silne, to już zupełnie zgodne z prawdą będzie określenie, że ze swego „awansu" Chełm nic sobie nie robi.

Chełm. *Em.*

Tam, gdzie był znicz pogański.

Nad Wilią, gdzie do niej wpada rącza Wilejka, ongi stała odwieczna świątynia pogańska w cudnym gaju Swentoroga, w. księcia lit.

Była bez dachu. Palił się w niej wieczny ogień „Znicz". Gdy w r. 1387, po powszechnym chrzcie Litwy — o 500 lat później, niż Polski! — król Władysław Jagiełło i Jadwiga wznieść postanowili w stolicy kraju świątynię *acre perennius*, zwrócili odrazu uwagę na modlitewnię bałwochwalczą.



Andrzej Wassiłło (1388—1398).

Po wytępieniu doraźnem bożków z drzewa i z kamienia i zgaszeniu „wiecznego ognia", przystąpiono do przeróbki świątyni pogańskiej, pozostawiając jej ściany w dawnym stanie, burząc jednak ołtarze ofiarne i posąg „potężnego" Perkunasa.

Poświęcenia pierwszej na Litwie świątyni katolickiej dokonał ks. Bodzanta, arcybiskup gnieźnieński, prymas polski.

Hojnie uposażona przez króla, dzięki nadaniu licznych dóbr, wśród których do najprzedniejszych należały: Ihumeń, w województwie mińskiem, Werki, pod Wilnem, i Malaby, stała się świątynia odrazu rozsadnikiem wiary Chrystusowej i krzewicielką światła.

Pierwszym pasterzem wileńskim był ks. Wasiłło, polak, herbu Jastrzębiec.

O dalszych losach katedry wileńskiej podaję garść szczegółów na podstawie pomnikowego, niezwykle cennego, dzieła ks. Jana Kurczewskiego, prałata kapituły wileńskiej, które niedawno wydano w Wilnie p. t. „Kościół zamkowy, czyli katedra wileńska".

Czytając pracę ks. Kurczewskiego, nie możemy się oprzeć przykremu wrażeniu, które wywołuje kilkakrotny opis ruiny katedry; szła bowiem ona często z dymem poża-


Jan z ks. litewskich (1519—1537).


Waleryan Protasewicz-Suszkowski (1556—1580).


Jerzy Radziwiłł, książę na Ołyce, kardynał (1581—1591).


Abraham Wojna (1631—1649).


Jerzy Tyszkiewicz (1649—1656).


Aleksander Sapieha (1664—1671).


Mikołaj Stefan Pac (1672—1684).


Ignacy ks. Massalski (1762—1794).


Jan Nepomucen Korwin-Kossakowski (1796—1808).



Hieronim Strzemień Stroyrowski (1808—1815).


Andrzej Benedykt Kłągiewicz (1828—1841).


Wacław Żyliński (1846—1859).

rów, wybuchających, bądź to z niewiadomej przyczyny, bądź to od ognia, podkładanego ręką wrogów, najeżdżających i niszczących Litwę.

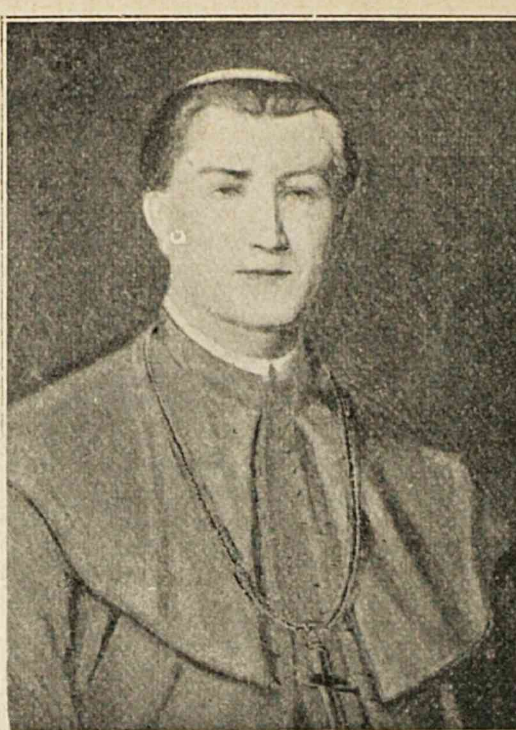
W rezultacie więc—nieustanna, ciągła restauracya, odnawianie, niemal bez przerwy.

Stąd i częsta, kilkakrotna zmiana zupełna wyglądu katedry, jej stylu i jej nawet rozmiarów.

Pierwsza pożoga dotknęła katedrę wileńską po upływie zaledwie lat kilku od jej wzniesienia. Wnet jednakże podźwignął Dom Boży książę Witold, wraz ze swą małżonką, Anną, której Wilno zawdzięcza także — mówiąc nawiasem — i najładniejszą swą świątynię, pod wezwaniem św. patronki księżnej.

Cenił i kochał ks. Witold pierwszą świątynię chrześciańską na Lit-






Adam Stan. Krasiński (1859—1883). Karol Hryniewiecki (1883—1890). Antoni Andziewicz 1890—1895). Stefan Zwierowicz (1897—1903).

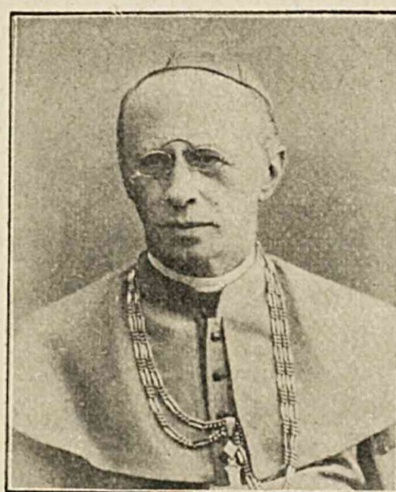
wie nietylko, jako Dom Boży, lecz i jako miejsce wiecznego spoczynku swego brata, Towciwiłła, i brata króla Władysława, Korygiełły, zamordowanych w wojnie bratniej.

Boć katedra wileńska nie jest tylko świątynią, lecz zarazem akropolisem i panteonem: grzebano tam szczątki książąt i niektórych królów (Aleksandra Jagiellończyka, przedtem zaś św. Kazimierza, królewicza), biskupów, kapłanów i dobrodziejów, składano tam kosztowne pamiątki familijne, gromadzono przez czas długi nasze trofea wojenne.

To też posiada katedra kilka kaplic pamiątkowych, z których jedna, pod wezwaniem św. Kazimierza, mieści relikwie naszego królewicza.

Do r. 1832-go Wilno posiadało osobny kościół św. Kazimierza, przy ul. Wielkiej. W murach tej świątyni naszej mieści się obecnie, od r. 1847-go, sobór prawosławny.

Żałuję bardzo, że dla braku miejsca nie mogę czytelnikom podać dzieła ks. Kurczewskiego nawet w krótkiem bodaj streszczeniu; odsyłam po szczegóły do źródła, do arcyciekawej książki ks. prałata, w której czytelnik znajdzie barwnie skreślone, z gruntowną znajomością rzeczy, z wielkiem ukochaniem Ojczyzny i Kościoła, opisy nieustannego odbudowywania katedry. Ciekawe zaś dzieje biskupstwa wileńskiego ukazały się w maju r. b. pod tytułem „Biskupstwo wileńskie". Ks. Kurczewski, autor — dodajmy— jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie[1]). Historya rozwoju w w. XVI kalwinizmu na Litwie, szerzonego przez „nowinkarzów" z Zachodu, z niektórymi Radziwiłłami na czele. Zajmująco też bardzo opisuje ks. prałat w swem dziele chwile rozterki wewnętrznej Zygmunta Augusta i jego powstrzymanie przez biskupa od udania się na zgromadzenie „nowinkarzów genewskich", nieodzowną potem konieczność przeciwdziałania nowemu ruchowi, sprowadzenie Jezuitów, rozwój kaznodziejstwa, wstrząsające zgrozą proroctw wiekopomne kazania Skargi, i dobroczynności na Litwie, smutne czasy Jana Kazimierza, napady wrogów z kilku stron (kozaków, szwedów, tatarów), niszczenie dobytku, wymordowanie mnóstwa ludzi (w samem Wilnie 25,000), burzenie i rabowanie kościołów, w ogólnej liczbie około setki, rozbijanie trumien w świątyniach, wyrzucanie nieboszczyków, obdzieranie ich z szat kosztownych, obcinanie palców z pierścieniami i t. p., opuszczenie, następnie Wilna przez kapitułę i biskupa, wywiezienie skarbów kościelnych, napady na prałata Białozora, pragnącego przewieźć kosztowności do Królewca, aby je tam ukryć, kilkoletnie tułactwo kapituły wileńskiej i jej posiedzenia *extra muros* Wilna, nawet w Warszawie, walkę hetmana Paca z wojskiem Chowanskij'a, który się zamknął w zamku i długo w nim się trzymał, niszcząc wszystko dokoła.



Edward baron Ropp.

Podaje wreszcie ks. prałat Kurczewski szczegółowe dzieje biskupstwa wileńskiego, aż do czasów najnowszych, a wszystko skreślone nader barwnie i zajmująco.

Dzieło ks. K. zdobią portrety prawie wszystkich biskupów dyecezyalnych wileńskich i kilka wizerunków katedry w różnych czasach.

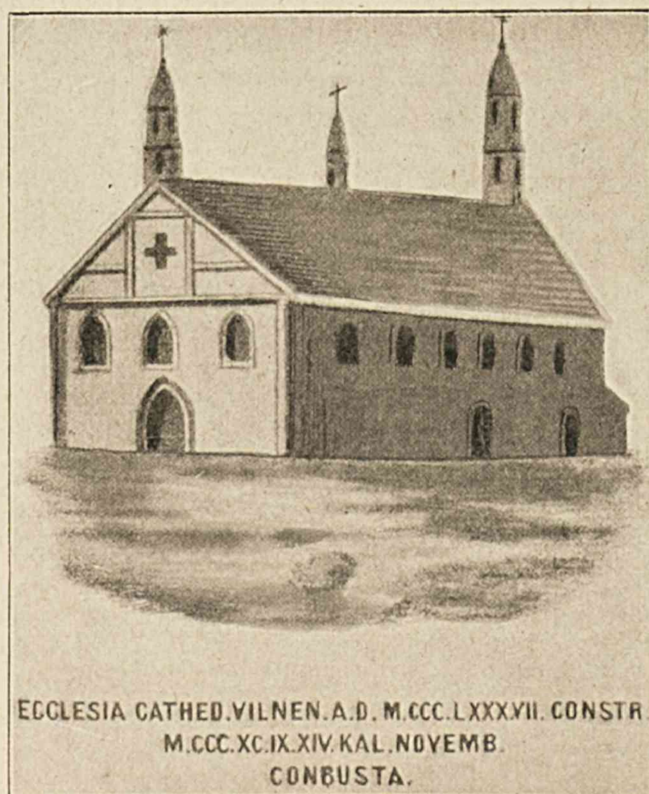
Do najwybitniejszych postaci z pośród biskupów dyecezyalnych wileńskich należeli: *Jan z książąt Litewskich,* syn naturalny Zygmunta I Starego. Dbając o poprawę obyczajów duchowieństwa, zwołał synod dyecezyalny w r. 1526. Usuwał ze szkół nauczycieli-niemców, nakazując naukę po polsku.

Waleryan *Protasewicz* - Suszkowski. Dla walki z kalwinizmem sprowadził Jezuitów, dopomagając im do szerzenia oświaty i założenia akademii w Wilnie.

Jerzy książę *Radziwiłł,* syn Mikołaja Czarnego, przedtem hetman i namiestnik Stefana Batorego na Inflantach. Wyniesiony później do godności kardynała, objął w r. 1593 biskupstwo krakowskie.

Abraham *Wojna.* Sprowadził na Litwę Bonifratrów dla pieczy nad nędzą, spotęgowaną częstem szerzeniem się zarazy morowej; ustanowił sufraganię białoruską i biskupstwo smoleńskie.

Jerzy *Tyszkiewicz.* W r. 1628 posłował na synodzie piotrkowskim. Po pierwszem najściu szwedów opuścił Wilno, wraz z kapitułą, unosząc



Wizerunek katedry pierwotnej.

[1]) Ks. prałat Kurczewski „Biskupstwo wileńskie", 461 str. dużego formatu.



Kościół katedralny w Wilnie.

kosztowności i relikwie św. Kazimierza. Umarł na tułactwie w Królewcu.

Aleks. *Sapieha*. Wsławił się tępieniem nadużyć, które się wkradły za burzliwych czasów wojennych, za Jana Kazimierza. Słynął ze swej hojności dla Kościoła.

Mikołaj Stefan *Pac*, wyniesiony na biskupstwo wileńskie, dzięki poparciu króla Jana III Sobieskiego i Rzymu. Kapitule wileńskiej podarował swój pałac w Warszawie, przy ul. Miodowej, w którym się dziś mieści sąd okręgowy i o którym dotąd mówi przysłowie: „Wart pałac Paca, a Pac pałaca".

Ignacy książę *Massalski*, pan możny i szczodry, więcej przebywał w Warszawie, niż w Wilnie, biorąc udział w Sejmie Czteroletnim i nakazując nieustannie swej dyecezyi modły za Ojczyznę. Przystąpił ostatecznie do konfederatów targowickich. Zginął w Warszawie, w czasie rozruchów w r. 1794, śmiercią tragiczną, powieszony na latarni przez rozwścieczone a oszalałe tłumy.

Z powodu gwałtownego zgonu bisk. Massalskiego, ks. prałat Kurczewski taką o tym fakcie wyraża opinię: „Śmierć jego nie nastąpiła z wyroku jakiegokolwiek sądu, lecz z rąk motłochu rozjuszonego. Sam Kościuszko bolał nad śmiercią M. Jego prochy opłakała kapituła i lud wierny — mieszkańcy Wilna..."

Ks. Mas. był ostatnim biskupem wileńskim za Rzeczypospolitej.

Jan Nepomucen *Kossakowski*. Od śmierci bisk. Massalskiego dyecezya wileńska przez lat kika pod rządem rosyjskim nie posiadała biskupa. Ks. Kossakowski objął dyecezye dopiero w r. 1798. Wsławił się utworzeniem w Wilnie, łącznie z prof. Frankiem, Towarzystwa Dobroczynności [2]).

[2]) *„Świat"* zamieścił o tem Towarzystwie obszerny artykuł w r. 1911.

Hier. *Stroynowski*, dr. obojga praw, członek Komisyi Edukacyjnej, rektor wszechnicy wileńsk., został wyniesiony do godności biskupa wileńskiego w r. 1809, w rok po śmierci bisk. Kossakowskiego.

Jędrzej *Kłągiewicz* był pierwszym biskupem wileńs., któremu kazano w r. 1831 zwiedzać kraje wschodnie. Sądzone mu było po powrocie patrzeć zblizka a bezradnie w r. 1839 na kasatę Unii przez metropolitę Siemaszkę, biskupów: Hołubowicza i Zubkę.

Wacław *Żyliński*. Czterdzieści kościołów konsekrował na Litwie. Od r. 1858 arcybiskup mohylowski [3]).

Adam Stan. *Krasiński*. Słynął jako miłośnik literatury ojczystej i wybitny kaznodzieja. W r. 1863 został zesłany przez Murawiewa do Wiatki, gdzie przebył w dzikich stronach lat 20 i gdzie ułożył, między innemi, księgę synonimów polskich. Uwolniony w r. 1883-cim, wyjechał do Galicyi i tam przed kilku laty żywota świątobliwego dokonał.

Karol *Hryniewicki*, zwany omyłkowo „Hryniewieckim". Ks. prałat Kurcz. tak o nim pisze: „Powstał ten mąż, jako ogień, niszczący bezprawie, jako miecz, dzielący i rozkazujący, po 17-letnich rządach prałata Żylińskiego. W sferach biurokratycznych pokładano z początku w Hr. duże nadzieje, które jednak z kretesem zawiodły. Był przedtem ks. Hr. profesorem akademii duch. ..Z zasobem energii pasterskiej ks. biskup Hr. uderzył na bezprawia — pisze dalej ks. Kurcz. — i nadużycia księży, a na wizytach kanonicznych dzień i noc bierzmując, nauczając i utwierdzając w wierze, pociągał uwiedzionych. W stosunkach z władzami bronił niezależności Kościoła w rzeczach wiary".

[3]) Bisk. Wacł. Żylińskiego nie należy utożsamiać z osławionym prałatem Piotrem Żylińskim, przez lat 20 admin. dyecezyi po powstaniu 1863.

Rządził dyecezyą zaledwie dwa lata. W r. 1885 pasterz został złożony z tronu biskupiego i wywieziony do Jarosławia, gdzie przebył lat kilka, poczem wyjechał do Galicyi i mieszka tam dotąd, zawsze się interesując gorąco sprawami swej dyecezyi ukochanej.

Antoni *Andziewicz*. Po wywiezieniu J. E. biskupa Hr., Wilno przez lat pięć nie posiadało pasterza. W r. 1890 został wyniesiony na biskupstwo wil. ks. Ant. Andziewicz. Zmarł w r. 1895.

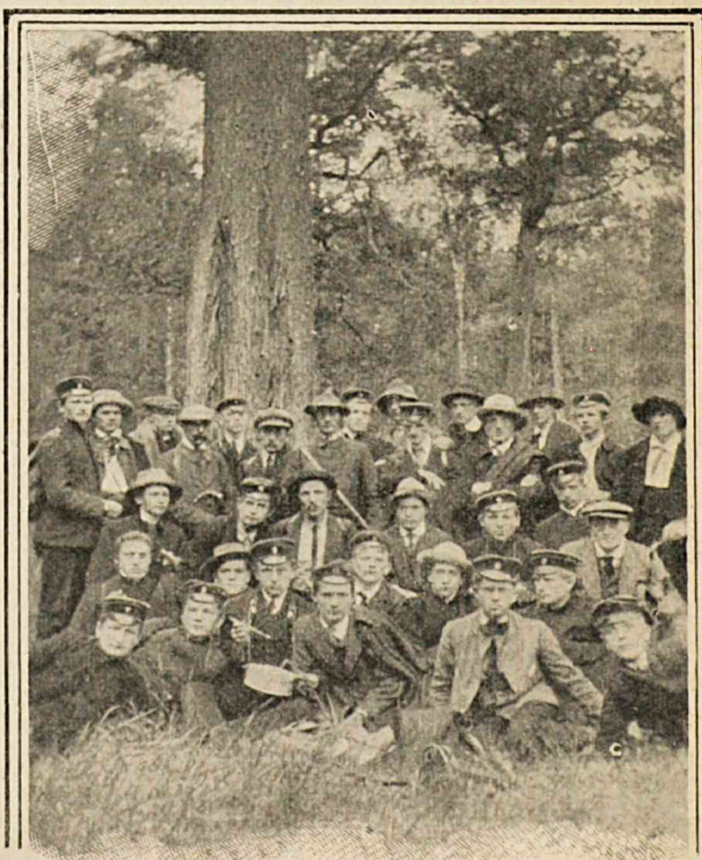
Stefan Aleks. *Zwierowicz*, przedtem profesor i rektor seminaryum wil. W r. 1902 wydał cyrkularz, w którym zakazał wiernym posyłania dzieci do szkół cerkiewnych, za co niezwłocznie wyjechał do Rosyi, skąd po roku wrócił do kraju ojczystego i został biskupem sandomierskim. Na tem stanowisku ks. Z. zmarł przed kilku laty.

Edward baron *Ropp*, przedtem biskup saratowski, w r. 1904 został przeniesiony na stolicę wileńską. Był posłem do I Izby Państwowej. Zorganizował w Wilnie stronnictwo katolicko-demokratyczne. Strącony z nakazu władz adm. z biskupstwa, wyjechał z Wilna i zamieszkał w Bebrze, na pograniczu Inflant Polskich i Kurlandyi, w dobrach Józefata hr. Plater-Zyberka, swego krewnego.

Mając swych dwóch biskupów: ks. Hryniewickiego i ks. Roppa, dyecezya wileńska nie posiada *de facto* żadnego i pozostaje obecnie pod zarządem, jak wiadomo, ks. prałata Kaz. Michalkiewicza.

A. Ł.

Wycieczka do Białowieży.



Uczestnicy Warszawskich Kursów Pedagogicznych w Białowieży.

Z terenu nowej wojny bałkańskiej.



Żołnierze bułgarscy w niewoli serbskiej, prowadzeni przez ulice Belgradu.

Z teatrów warszawskich.

Molier w Teatrze Polskim.

(„Doktór z musu" i „Jerzy Dandin").

Zachowanie *stylu* w sztukach Moliera składa się z dwóch części. Nazewnątrz, w kostyumach, w geście i tonie właściwym a charakterystycznym. Jestto jakby piękna oprawa, konieczna, by te pełne ognia brylanty całym blaskiem zajaśniały. A potem — rzecz jeszcze trudniejsza—zachowanie stylu nawewnątrz. Całość sunie z miejsca, jakby w miarowym a posuwistym *pas* z menueta, niekiedy przesadnym, a jednak umiarkowanym. Dyalog musi być trzymany w pewnej błyskotliwej, czasem nawet o trywialność potrącającej szarży — a jednak miarowy, estetyczny, dystyngowany. Jak sama epoka, w której rzeczy te się zrodziły. Ludzie nabywali już gładkości dworskiej, rozumieli sztuki piękne, ale lubili czasem żart i dwuznacznik bardzo ostry, daleki jeszcze od eleganckiego przemanierowania, od pudru i perfum epoki następnej, Ludwika XV i pani Pompadour. Francuz nabrał już pięknych form, ale znać po nim, że niedawno wrócił z obozu Kondeusza i Tureniusza.

Słowem: barok jeszcze, nie rokoko i zopf.

W zrozumieniu tej właśnie charakterystyki mieści się stylowość wewnętrzna teatru Moliera.

Teatr Polski zrobił wszystko, co w jego siłach, aby obudwu warunkom zadość uczynić. Strona zewnętrzna jest bez zarzutu. Kostyumy pań i panów wprost śliczne — i w kroju, i w wybornie sharmonizowanych barwach. Podobnie i umeblowanie, oraz cała strona dekoracyjna. Nie wiem też, czy możnaby znaleźć lepszych przedstawicieli dwu tak trudnych, a zarazem wdzięcznych ról, jak p. Zelwerowicz, jako „Doktór z musu" *(Médecin malgré lui)* i p. Jaracz, jako „Jerzy Dandin". Nawiasem mówiąc, tłómaczowi podobało się: Georges spolszczyć na Grzegorza, jako imię, licujące bardziej ze śmieszną, nie pozbawioną cech trywialności, figurą przysłowiowego bohatera, świecącego przykładem dla wszystkich spółczesnych i późniejszych mężów zazdrosnych, jako: *cocu, battu et content*. Zwłaszcza szybka, jasna i wyraźna dykcya, miejscami w ostry ton wpadająca, a jednak umiarkowana — jest darem, bardzo w tym razie cennym dla obudwu interpretatorów. Nie można też nic zarzucić ani pani Starskiej, jako stanowczej i energicznej córce, która udaje niemowę, aby nie wyjść za mąż za narzeczonego ani p. Zarzyckiej, jako żonie Dandina. Bardzo dobrym nabytkiem, zdaje się być p. Węgierko, który w swej niewielkiej roli zgrabnego amancika w „Doktorze z musu" był zupełnie stylowym. P. Grabowski, jako dystyngowany uwodziciel, para śmiesznych rodziców i obiedwie subretki, pp. Czarnecka i Janecka, wywiązali się wybornie z zadania. Całość była sharmonizowana doskonale. Przerwy króciutkie, minutowe zaledwie. A w antrakcie, pomiędzy obydwoma sztukami, kwintet stylowy gra stylowe melodye z XVII wieku. Doskonały pomysł.

Nakoniec uwaga: aby Moliera zrozumieć, odczuć i podobać się w nim, na to nie wystarcza przeciętność wymagań estetycznych i smaku. A z uwagą pytanie: czy publiczność nasza rozumie, że świeżość teatru Moliera nie zbladła w oddaleniu półtrzeciawiekowem?... *A. Br.*

TEATR LETNI. „Dobra dziewczyna", komedya w 3-ch aktach, Lopeza. Tłomaczyła z włoskiego Stanisława Gallone.

Jest to znów sentyment — nawet roztkliwiający, na tle półświatka. Jeszcze jedna Marya Gautier więcej, po tylu jej społecznych następczyniach. Tło tylko odmienne — włoskie. Piękna Cezaryna, córka biednego rzemieślnika z prowincyi, obrała, coprawda, śliska karyerę w życiu, dzięki jednak chłodnej rozwadze i sprytowi, zatrzymać się umiała na najwyższym szczeblu swego fachu. To znaczy, że pozyskała stałe względy starego i bogatego głupca, na tyle jednak dowcipnego, że, będąc deputowanym, woli uparcie milczeć w parlamencie, wiedząc, że to najlepsza gwarancya, by nie palnąć głupstwa, a nawet



„DOKTÓR Z MUSU". Pp. Szobert, Zelwerowicz i Starska.



„GEORGES DANDIN". Pp. Węgrzynowa, Jaracz i Zieliński.

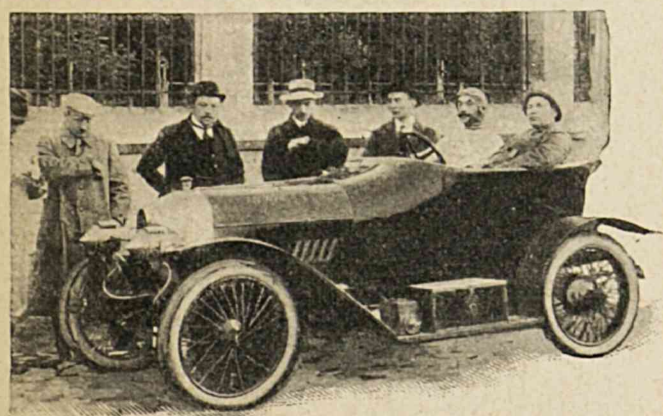
Fot. Malarski i Tavrell.

zostać ministrem. A ponieważ głupcy mają szczęście, więc Cezaryna — nawet go nie zdradza. Podoba jej się wprawdzie młody, przystojny i przedsiębiorczy sekretarz deputowanego, Henryk, nawet mówi do niego: „czekaj“, ale po namyśle woli zrobić z niego legalnego małżonka dla swej siostry, młodziutkiej Julki, którą w tym celu do stolicy sprowadza. Bo Cezaryna nie chce, żeby Julia poszła w jej ślady. A że Cezaryna jest „dobrą dziewczyną“, więc pomyślała nawet o posagu dla ukochanej Julki, który musi wynosić, conajmniej, 100 tysięcy lirów. Już ma 50 tysięcy od dawnego adoratora. Deputowany daje się ubłagać na 30. Z brakującemi dwudziestoma radzi sobie „dobra dziewczyna“ w ten sposób, że przypomina sobie o propozycyi bardzo bogatego, brzydkiego i hojnego bankiera, który swego czasu, w interesującej scenie z 2 aktu, granej doskonale przez p. Wilczyńskiego, powiedział jej: „Wiem, że jestem wstrętny, ale, jak pani zechce, to 20 tysięcy są dla niej. Pieniądze chowam, bilet mój i adres zostawiam“. No... i tym sposobem zebrała się cała suma, która chciwych „burżujów“, rodziców Henryka, przekonywa, że Julia, choć siostra kurtyzany, stanowić będzie prawdziwe szczęście dla ich syna. Czy ze swej strony Henryk to szczęście jej zapewni? Czy Cezaryna poświęca się na istotne dobro dla siostry?... Ponieważ na te pytania niema odpowiedzi, więc nie stawiajmy wielu innych kwestyi, nasuwających się z okazyi sztuki. Powiedzmy tylko wogóle, że sztuka nietylko nie jest nową, jako pomysł, ale jej faktura przypomina dawne czasy Dumasowskie... Doskonałą jest gra w roli głównej p. Pichorówny, umiejącej nie przesadzać ckliwości sentymentu, a jednak utrzymać się w tonie w całości. Julkę grała wybornie p. Szylinżanka. P. Śliwicki był eleganckim amantem, a pp. Rapacki, Wilczyński, Leszczyński i Różański, oraz panie: Żółkowska i Trapszowa, w żywo granych epizodach, dopełnili poprawnej całości.

a.

Rekord samochodowy Warszawa-Łódź.

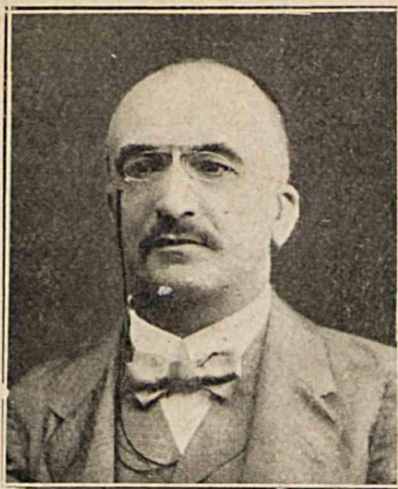
Fot. Maryana Fuksa.



W samochodzie pp. Dekler i Berson. Startują pp. Rudnicki i Pągowski.

Celem ustalenia rekordu czasu, potrzebnego do przebycia samochodem drogi z Warszawy do Łodzi i z powrotem, wyjechali w ubiegłą sobotę z Warszawy pp. Edward Berson i Zygmunt Dekler, redaktor „Lotnika i automobilisty“ na samochodzie „Apollo“ (8 : 24 KM). Przejazd do Łodzi wskutek zbyt wilgotnego terenu trwał 2 godz. 59 m.; powrót 2 godz. 16 m.; w Łodzi jadący zatrzymali się tylko przez 15 minut, celem zaświadczenia przyjazdu. Ogółem więc całą podróż odbyli w ciągu 5 godz. 30 minut.

Zarząd Tow. Warszawskiego Instytutu Psychologicznego.



Dr. Wład. Gajkiewicz, prezes.



Dr. R. Radziwiłłowicz, wice-prezes.



W. Makowski, skarbnik.

Na zebraniu organizacyjnem, zatwierdzonego przez władze, Tow. Warsz. Instytutu Psychologicznego wybrano kuratorem p. Wiktora Skibniewskiego, oraz powołano zarząd, w którego skład weszli: dr. Wład. Gajkiewicz (prezes), dr. Rafał Radziwiłłowicz (wice-prezes), dr. Artur Chojecki (sekretarz), Wacław Makowski (skarbnik), oraz p. Cygelstreich (bibliotekarz). Towarzystwo ma prawo urządzania pracowni psychologicznych, posiedzeń naukowych, a dla powiększenia funduszów Tow.—wykładów publicznych.

Uczestniczki Ogólnej Rady Tow. Kółek Rolniczych w Złoczowie.

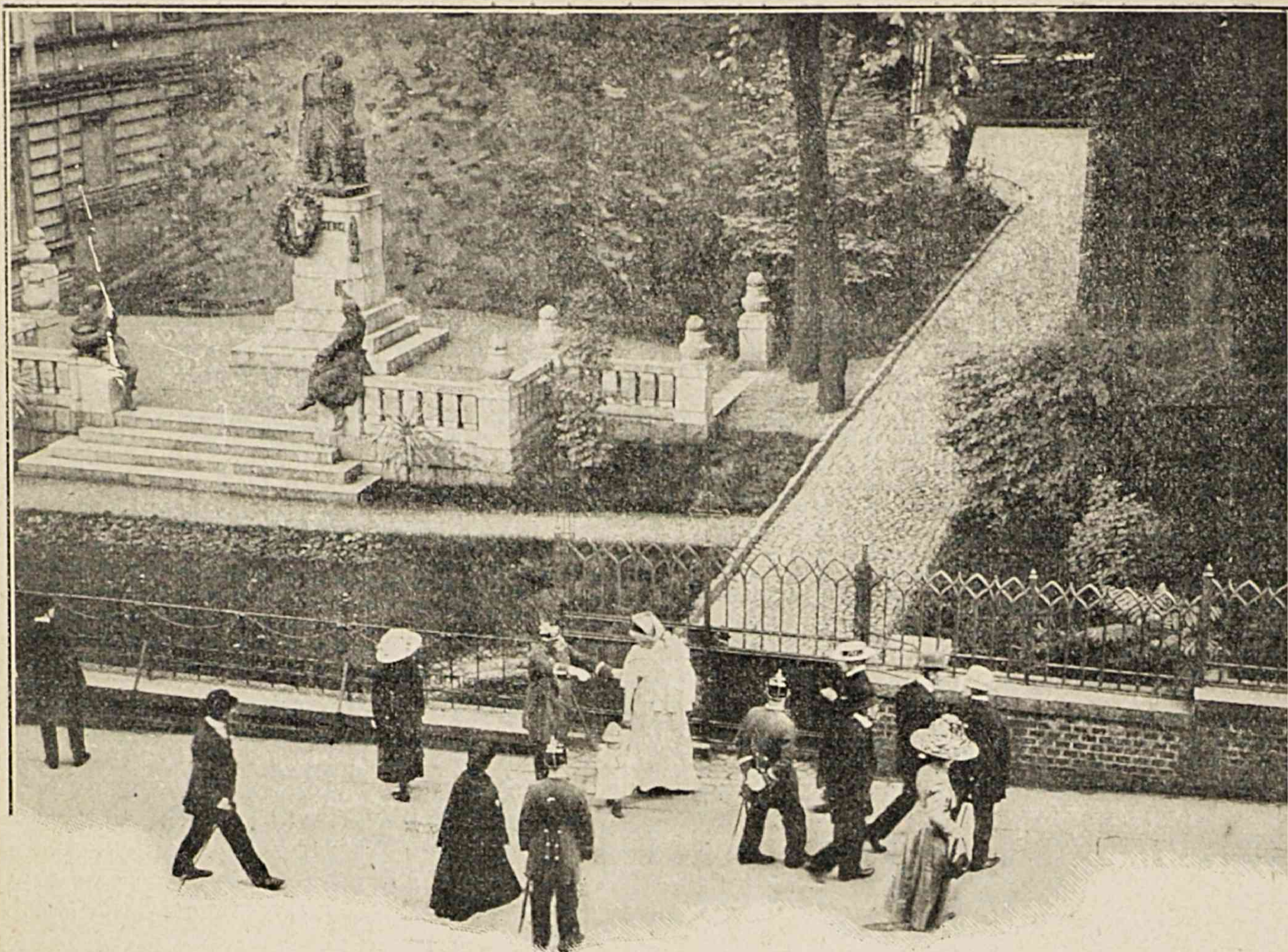


Dnia 11 i 12 b. m. odbyła się domowa Rada ogólna Tow. Kółek rolniczych w Złoczowie. Bardzo licznie reprezentowane były na niej Kółka Rolnicze z powiatu krośnieńskiego. Delegatki przybyły w pięknych malowniczych strojach ludowych. W obradach wzięły kobiety żywy udział i interesowały się bardzo poruszonemi w dyskusyi sprawami. Po ukończeniu obrad zwiedziły Podhorzec, a następnie Lwów. Rycina przedstawia delegatki z pow. krośnieńskiego, wspólnie z członkami Zarządu Głównego, urzędnikami i urzędniczkami biura, które się przyjęciem bobiet w Złoczowie i Lwowie zajmowały.

Pożar świątyni.



Przed kilku dniami we wsi Kazuń, pod Warszawą, spłonął kościołek drewniany.

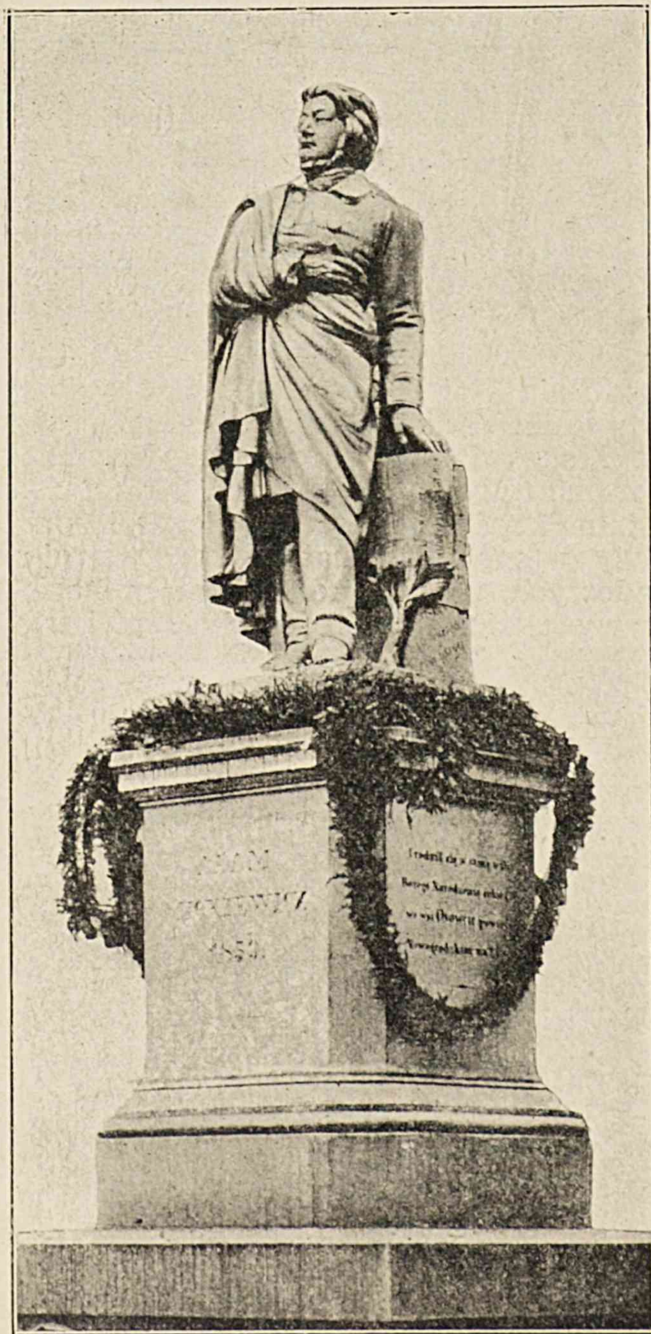


Fot. J. Stolski. Niańka z dziećmi przed pomnikiem — to „rewolucya".

Mickiewicz... pod dozorem policyi.

Poznań szczyci się swoim pierwszym na ziemiach polskich pomnikiem Mickiewicza. Od lat przeszło 50 stoi na gruncie prywatnym, stanowiącym dziedziniec kościoła ś-go Marcina. Przez lat przeszło 50 stał spokojnie, nie zakłócając spokoju publicznego, ani też nie „podniecając do gwałtów". Aż oto w tym roku nagle okazało się, że pomnik nie jest wcale taki niewinny. Trzeba go pilnować. Więc od stycznia b. r. ustawiono na ulicy, przed sztachetami, odgradzającemi plac Mickiewicza, straż policyjną, wytężającą dzień i noc wzrok, czy przypadkiem Mickiewicz nie stoi na czele konspiracyi. Jak dalece zarządzenia okazały się słusznemi, dowodzi fakt, że od chwili ustanowienia nad pomnikiem dozoru policyjnego, przyłapano już mnóstwo polskich „demonstracyi rewolucyjnych". U nas wszystko jest demonstracyą. Zwiedza ktoś z obcych przybyszów zabytki Poznania i uda się pod pomnik Mickiewicza — nie upłynie minuty, a już poczuje na karku dłoń policyanta, który go w sposób „pruski" z pod pomnika usunie. Zawadzi o Poznań wycieczka studentów z Galicyi, która złoży u stóp Mickiewicza wieniec laurowy, a już rozlega się świstawka policyanta, i w tejże chwili zjawia się zbrojna pomoc 6 do 10 drabów policyjnych, którzy winnych pojmają, nałożą na nich kajdanki i z tryumfem prowadzą na inspekcyę policyjną, gdzie spisuje się długie protokóły i za „zakłócenie spokoju publicznego" każe się płacić po talarze od przestępcy. Zjawi się na chwilę przed pomnikiem niańka z dziećmi, a już policyant pruski chwyta ją za ramię i szamoce.

Największe wszakże rozmiary przybrały „demonstracye" w niedzielę, 20 lipca. Grupa młodzieży z Tow. „Iskra", pragnąc uczcić 10-lecie istnienia Towarzystwa, złożyła przed pomnikiem wieniec z wstęgami. Powód dostateczny do zaalarmowania policyi i aresztowania „winnych". Nic dziwnego, że skutkiem tego począł się gromadzić tłum, śpieszący właśnie do kościoła. Gdzie gromadzi się tłum, tam już jawna rewolucya. Zaalarmowano tedy dalszy posiłek policyjny, w postaci około 40 policyantów, którzy biegiem wpadli między tłum, bijąc kułakami i rozpędzając go dobytemi szablami. Wiele osób raniono, przeszło 20 osób aresztowano. Następnie przez całą niedzielę do poniedziałku rana kilkunastu uzbrojonych policyantów czyniło przed pomnikiem zbiegowisko. W poniedziałek nastąpiły znów aresztowania.



Pomnik Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Skutek tych „środków" wychodzi nam na dobre. Bo czego nie dokazały mowy, wiece i artykuły prasy polskiej, tego dokazały środki policyjne. „Środki" te uważać należy, jako najskuteczniejszy środek agitacyjny dla podtrzymania ducha narodowego.

Poznań. *Sigma.*

Zaręczyny na dworze angielskim.



Ks. Artur Connaught i ks. Aleksandra Fife.

Stanisław Mendelson

zmarł w Warszawie na anewryzm serca w 55-ym roku życia. Syn bankiera warszawskiego, nie poszedł śladem rodzica, ale rzucił się w wir polityki i publicystyki. Jako skrajny radykał, więziony i prześladowany, wyjechał do Anglii, gdzie wydawał pisma: „Przedświt" i „Walkę klas", a przytem był przez lat kilka widomą głową socyalizmu polskiego za granicą. Przed 20 laty, kiedy osiadł w Galicyi, nastąpił w jego życiu i karyerze publicystycznej przełom. Ze skrajnego radykała stawał się coraz bardziej umiarkowanym, aż nareszcie był spółpracownikiem warszawskiego „Słowa" i krakowskiego „Czasu", gdzie drukował głośne, a swego czasu bardzo poczytne „Listy sejmowe". Przed trzema laty, kiedy powrócił do Warszawy, zmienił znów swoje przekonania. Z polskiego konserwatysty, który był socyalistą, stał się zagorzałym nacyonalistą żydowskim. Te skrajne fazy, zwłaszcza ostatnia, w której powrócił na łono żydowstwa, zachwiała jego powagę. Pomimo to, przyznać należy, że była to zdolność niepoślednia, umysł wyjątkowy, obdarzony energią, inicyatywą i nadzwyczajną ruchliwością. Był to jeden z tych niezwykłych polityków i publicystów, którzy, przechodząc tak często z obozu do obozu, czynią to raczej nie przez wyrachowanie, nie dla karyery, ale z istotnego przekonania.



S. Mendelson, wedł. portretu Malczewskiego

Humor i Satyra.

Samowłamanie.

(Przygoda słomianego wdowca).

Pan Ewaryst, człowiek młody, wszelkich dóbr doczesnych syty, choć żonaty, lecz do niewiast w sercu feblik miał ukryty. Lubił nieraz incognito, spędzać czas w wesołem gronie, gdzie to płynie śmiech kaskadą, szampan strzela, serce płonie. W zimie jeszcze, jako tako, trzyma męża stanowisko, gorzej było, kiedy żona wyjechała na letnisko. Wtedy pływał pośród zabaw, jak lin pośród wód odmętu i nie szczędził na te cele grosza i temperamentu. Raz wieczorem, idąc z „budy" (a miał budę swoją własną), rzucił wzrokiem rozmarzonym w „Udziałowej" przestrzeń jasną. Pośród tłumu publiczności, co czas spędza wśród wesela, w towarzystwie dwóch szyk niewiast ujrzał swego przyjaciela. Gdy przyjaciel go zobaczył, powstał z miejsca oczywiście i rzekł z czułem powitaniem:

— Chodź tu do nas Ewaryście! Humor dzisiaj mam wesoły, więc zabawa będzie dobra. Siadaj, chłopie! Jest nas trójka, a czwartego brak do robra.

Pan Ewaryst, co nie lubił oponentem być z zasady, ukłonił się pięknym paniom i siadł przy nich, pełen swady. Wnet zawołał na kelnera, który stolik ten miał w pieczy, zrobił uczty plan z rozwagą i ze znajomością rzeczy. A że przytem nie zapomniał o obfitem podlewaniu, więc się coraz to weselej robiło przy każdem daniu.

Wśród dowcipów, werwy, śmiechu czas upływał, jakby z procy; gdy z kawiarni wyszło grono, było dobrze po północy.

— Co z wieczorem resztą robić? — spytał pan Ewaryst gładki. Wiecie państwo, mam myśl niezłą: pojedziemy za rogatki. Tam powietrze znajdziem świeże, a tu w mieście teraz nudy. Lecz, by flotę swą odnowić, muszę najpierw wpaść do budy. Jedźcie naprzód samochodem, ja nie będę długo w tyle: chwycę tylko parę setek i dogonię was za chwilę.

Zgodziło się towarzystwo i o pośpiech tylko prosi — lecz wiadomo, że chłop strzela, ale Pan Bóg kule nosi.

W kilka minut pan Ewaryst stał już u drzwi swojej budy. Wnet żaluzye wzniósł do góry (z kluczem małe były trudy). Gaz zapalił, do swej kasy idzie śmiało ani pyta. Nagle słyszy: „Tuś bandyto!..."

Nocny stróż mu ramię chwyta. Świst, krzyk, hałas, zamieszanie, wnet policya wchodzi w szranki. Nim się spostrzegł pan Ewaryst, już na rękach miał kajdanki. Próżno błagał i przekładał, że to jego własna kasa...

— Nie nadujesz! — rzekł stójkowy — znamy ciebie, ananasa! A ot jeszcze i rewolwer — rzekł, gdy przejrzał mu kieszenie. Nu, powiedzcie pan bandyta, czy jest u was pozwolenie? Będzie mała nieprzyjemność, gdy na sznurku pan zadynda...

W parę minut do cyrkułu wszystkich razem wiozła dryndа. Że nie było wyższej władzy, więc w kajdankach, bez nadziei, musiał czekać pan Ewaryst aż do rana wśród złodziei.

Gdy komisarz zbadał rano, że jest sprawa jego czysta, wypuszczono na swobodę z mrocznej kaźni Ewarysta.

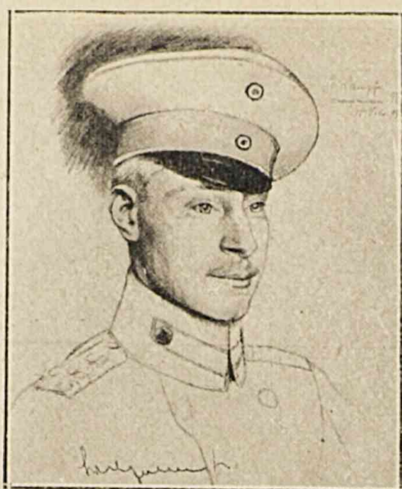
Gdy opuszczał progi ula, rzekły bezpieczeństwa sługi:

— Drugi raz, to wy, pan, lepiej włamcie się do kasy cudzej. Gdyby nawet wam w tym razie nie powiodło się z tą pracą, to przynajmniej na pociechę siedzieć w ulu będzie za co.

Za rogatką, wśród zieleni, kompanijka rozbawiona próżno całą noc czekała na swojego amfitriona. Dowiedziano się dopiero, gdy blask słońca świat ozdobił, co z wieczora tego resztą pan Ewaryst biedny robił. K. C.



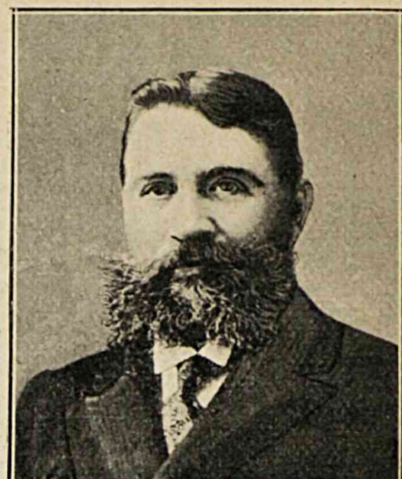
ROBERT BRIDGES, znakomity poeta-laureat angielski.



KSIĄŻĘ WILHELM, następca tronu niem. wraz z małżonką odwiedził Jasną Górę i zostawili 3 rb. dla biednych.



TEODOR hr. PAJACSEWICZ, nowy minister dla Chorwacyi.



RADOSŁAWOW, nowy prezes ministrów bułgarskich, zwolennik Austryi.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

WOJNA.

Konferencya pokojowa przedstawicieli państw bałkańskich rozpoczęła się w Bukareszcie. Na terenie wojny akcya osłabła.

Londyńska konferencya ambasadorów zajmowała się zaczepną akcyą Turcyi. Proponowano wysłanie ostrzeżenia lub demonstracyę flot. Lecz do zgody nie doszło.

Dyplomacya obawia się oddzielnej akcyi Rosyi przeciw Turcyi, bo w ślad zatem i Austrya wystąpiłaby zbrojnie.

Austrya grozi wkroczeniu do Sandżaku Nowobazarskiego, jeżeli Serbia nie umiarkuje swych żądań.

Przy otrzymaniu Adryanopola i granicy po Maricę upiera się Turcya zbrojnie i w drodze dyplomatycznej.

Armia grecka posuwa się ciągle naprzód, odmawiając proponowanego przez Bułgaryę zawieszenia broni.

SPRAWY POLITYCZNE.

Sejm galicyjski ma się zebrać z początkiem września, ze względu na uchwalenie akcyi zapomogowej z powodu klęsk elementarnych.

Autonomia czeska została zawieszona, sejm rozwiązany. Powrót do normalnych stosunków zależy od przebiegu rokowań ugodowych.

Na portugalskiego prezesa ministrów, Costę, chciał wykonać zamach anarchista brazylijski, Cuaha.

Ministrem dla Chorwacyi został zamianowany hr. Pajacsevicz. Może odwołanie Cuway'a uspokoi wrzenie w kraju.

Flota angielska wojenna rozpoczęła wielkie doroczne ćwiczenia w pobliżu twierdzy Hull. Zadanie: atak na wybrzeża.

Wśród papieskiej gwardyi szwajcarskiej wybuchł bunt. Żołnierzy rozbrojono, a przywódcę zamieszek wydalono.

Północne wojska chińskie zwyciężają południowców; Nankin wpadł w ich ręce. Bitwy są bardzo zacięte.

SPRAWY POLSKIE.

Projekt przepisów o serwitutach rolnych w Królestwie wniosło petersburskie ministeryum spraw wewnętrznych do Rady ministrów.

Polską wystawę w Bochum szykanują władze coraz bardziej. W spinkach i pocztówkach dopatrzono się niebezpieczeństwa polskiego.

P. Curie-Skłodowska przenosi się na stały pobyt do Warszawy, obejmując kierownictwo pracowni radiologicznej Tow. Naukowego.

Na dyrektora muzeum rapperswilskiego powołano p. Konstantego Żmigrodzkiego, archeologa i numizmatyka.

Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie będzie znowu niebawem znacznie rozszerzone. Biblioteka zostanie przeniesiona do osobnego gmachu przy ul. Floryańskiej.

Kongres międzynarodowy dla ochrony dzieci obraduje w Brukseli, z udziałem reprezentantów 35 państw.

LITERATURA I SZTUKA.

„Aida" Verdiego będzie wystawiona na starorzymskiej arenie, pod Weroną, z udziałem 7,000 śpiewaków, dla uczczenia stulecia urodzin kompozytora.

Starożytną świątynię egipską, niezwykle ciekawą, odkryła na wyspie Krecie włoska komisya archeologiczna.

LOTNICTWO.

III międzynarodowy kongres prawa powietrznego odbędzie się we wrześniu w Frankfurcie, zwłaszcza nad kwestyą odpowiedzialności międzynarodowej.

Na letnisku frankfurckiem spadł lotnik Scheffer, odnosząc ciężkie rany. Monter zabity.

RÓŻNE.

Papież znowu niedomaga z powodu lekkiego przeziębienia. Wszystkie audyencye zostały odroczone.

Powódź w Łodzi wyrządziła ogromne szkody w niżej położonych ulicach miasta. Spowodowały ją ulewy.

Oskarżenie przeciw malarzom Kamockiemu i Leonhardtowi o kradzież ornatów na Spiżu cofnęła prokuratorya. Aresztowanych uwolniono.

Proces o przekupstwa i zdradę wojskową, toczący się w Berlinie na tle głośnej sprawy Kruppa, zmienia się w istną panamę niemiecką.

Podczas pożaru fabryki odzieży w Binghampton, w Ameryce, spłonęło żywcem 62 robotnice, przeważnie polki, i 30 ciężko rannych.

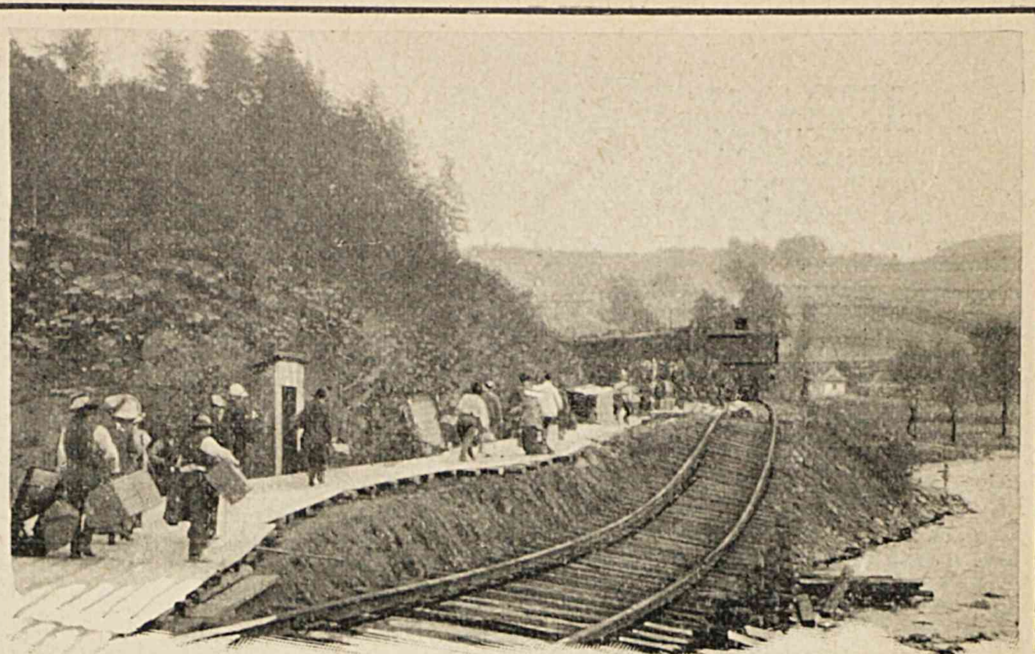
Ze świata mody.



Ostatnie „kreacye" londyńskie. Cztery najmodniejsze kapelusze damskie, przybrane fantazyjnie tiulem.



Wskutek oberwania się chmury i gwałtownej ulewy, całe dzielnice Lwowa stanęły pod wodą.



Między Rabą Wyższą a Sieniawą, rzeka Raba podmyła nasyp, który usunął się tak, że szyny zawisły w powietrzu.

Wystawa w szkole Maryi Kownackiej w Warszawie.



W Szkole Artystyczno - Rzemieślniczej Maryi Kownackiej (dawniej C. Gutowskiej) — odbyła się wystawa prac uczenic i wyrobów szkolnych z zakresem haftów, robót szkolnych, slöjdu, koszykarstwa i introligatorstwa, oraz sztuki stosowanej.

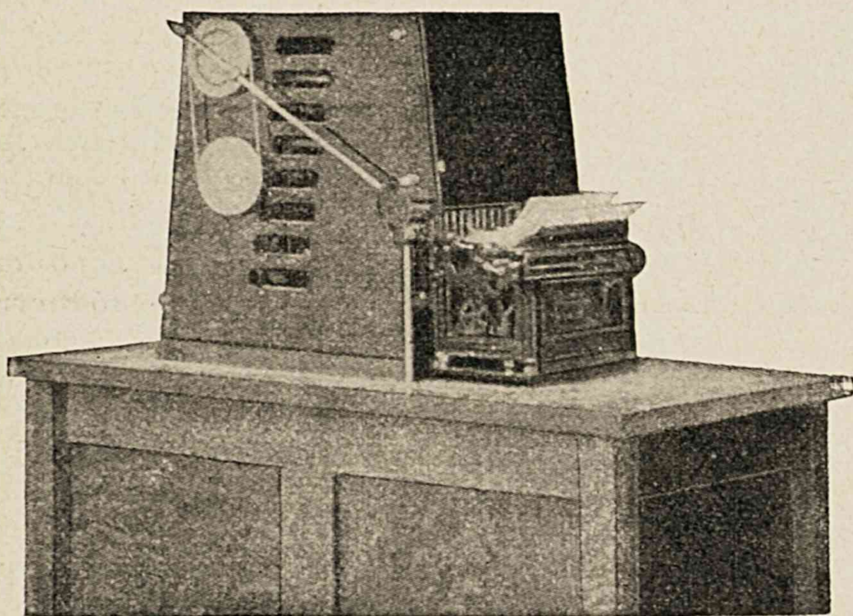
Szkoła ta przygotowuje nauczycielki robót i slöjdu do pensyi i szkół, instruktorki rzemiosł do ochron i sal zajęć — daje niezamożnym kobietom fachowe wykształcenie—i szerzy przemysł swojski. Pozatem daje możność uczenia się specyalnie jednego przedmiotu — artystycznych robót wszelkiego rodzaju. Są kursa ranne i wieczorowe — zbiorowe lekcye i prywatne.



Samopiszące i samorachujące maszyny do pisania.

Na wystawie kijowskiej firma A. Zaleszczański i S-ka, Kreszczatik 39, reprezentująca znaną warszawską firmę G. Gerlach w Warszawie ul. Czysta 4, wystawiła cały szereg nowości z zakresu maszyn do pisania wyrobu, wszechświatowo znanej, amerykańskiej firmy UNDERWOOD TYPEWRITER CO., jeneraln. reprezentantem której na Królestwo i Cesarstwo jest właśnie firma G. Gerlach.

Na szczególne wyróżnienie z pośród wystawionych maszyn zasługuje przedewszystkiem wynalazek fabryki UNDERWOOD, nazwany „AUTIST".



Jest to wprost genialnie obmyślany aparat, *piszący automatycznie* na jakiejkolwiek maszynie UNDERWOOD dowolną ilość egzemplarzy podług raz zrobionego odpowiednio oryginału i z automatyczną zmianą adresów w każdym napisanym egzemplarzu. Aparat ten wypisuje również i koperty z przeróżnemi adresami.

„AUTIST" znakomicie nadaje się do wypisywania cyrkularzy, zaproszeń, umów i t. p. jak również do pisania aktów i listów i t. p. dokumentów, potrzebnych w większej ilości jednobrzmiących egzemplarzy. Zaletą „AUTISTA" jest poza wszystkiem także i to, iż daje on egzemplarze napisane bezbłędnie i niczem się nie różniące od oryginału.

Każdy aparat zaopatrzony jest w automatyczny przyrząd do podawania papieru i kopert.

Do aparatu zastosować można każdą maszynę Underwood z łatwością odłączaną od niego i mogącą wówczas służyć do robót zwykłych. Szybkość pisania wynosi do 20 uderzeń na sekundę t. j. o 2 z czemś razy prawie szybciej od najzdolniejszego pisarza na maszynie i nie da się osiągnąć na żadnej maszynie oprócz maszyny Underwood.

Drugą nowością na wystawie Kijowskiej jest maszyna do pisania UNDERWOOD *połączona z arytmometrem.*

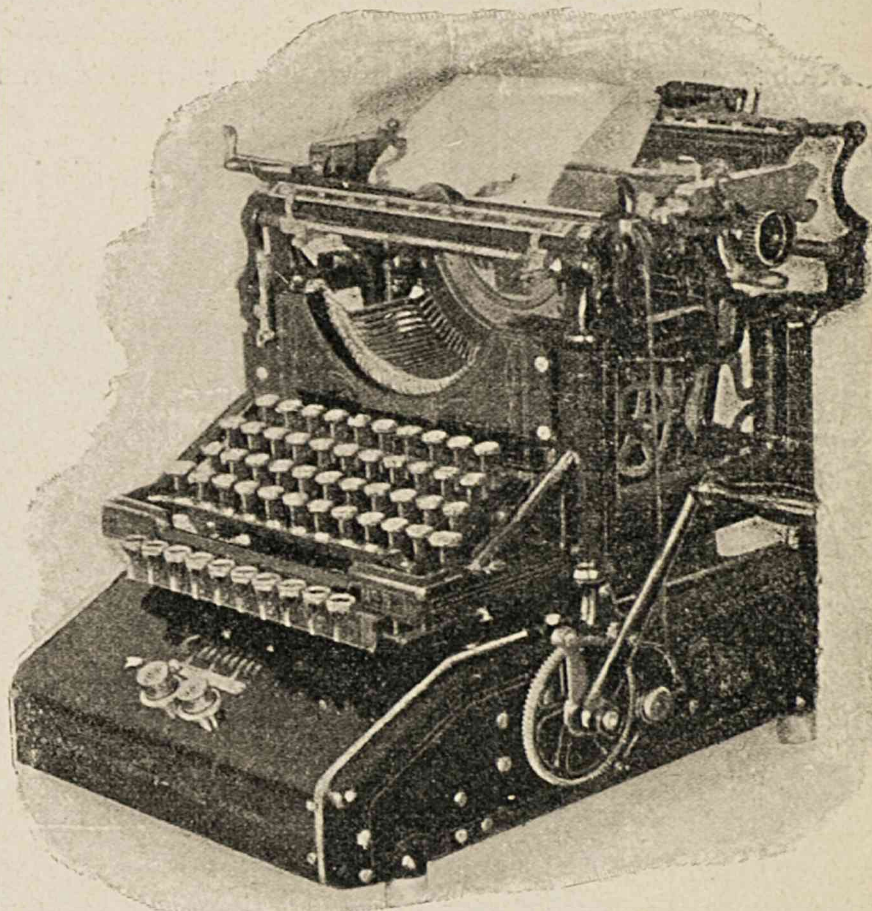
Maszyna ta posiada dziesiętny tabulator i niezależnie od wszystkich tych robót, które dokonywane są na zwyczajnych maszynach do pisania, daje ona przy pisaniu na niej rachunków, wyciągów, bilansów, tabel i t. p. automatycznie sumę cyfr napisanych w danej kolumnie, co stanowi ogromne ułatwienie w pracach buchalteryjnych.

Znajdująca się na wystawie maszyna sumuje cyfry w jednej kolumnie, ostatnią zaś nowością w tej dziedzinie są takież maszyny UNDERWOOD, urządzone do sumowania cyfr w kilku kolumnach, tak w pionowym, jak i poziomym kierunku, które to maszyny zrobiły furorę na ostatniej wystawie we Frankfurcie.

Wyliczenie wszystkich zalet maszyn do pisania, systemu UNDERWOOD, innych rodzai zbyt wiele zajęłoby miejsca. Nadmienić tylko musimy, że absolutnie pod każdym względem, czy też konkursów szybkość pisania, czy też nagród i odznaczeń, czy też konkursów szybkości pisania na nich, maszyny „UNDERWOOD" zwyciężyły i to zwyciężyły z poważnym tryumfem.

To też produkcya fabryki rośnie z każdym miesiącem, ażeby zaś dać czytelnikom naszym pojęcie o ogromie tej produkcyi, przytoczymy tylko parę cyfr.

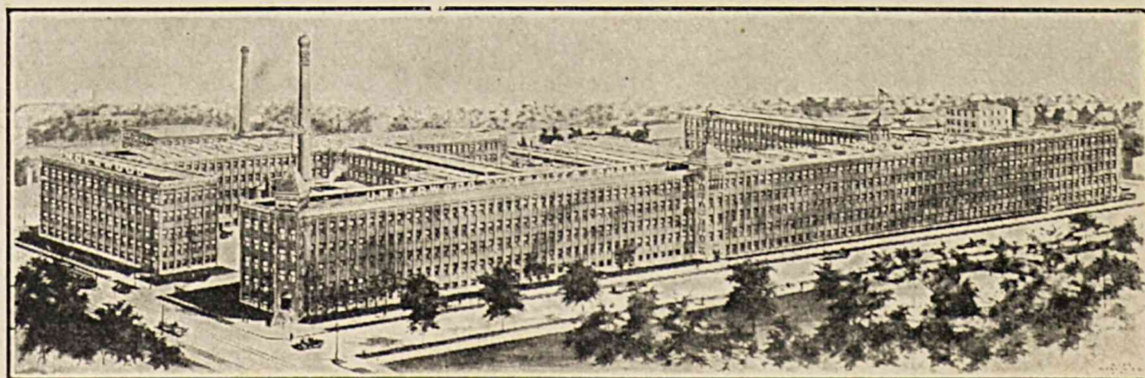
Fabryka zajmuje przestrzeń o powierzchni 45945 stóp kw. zatrudnia przeszło 5000 robotników i wyrabia już obecnie około 500 maszyn dziennie. Już obecnie znajduje się w użyciu z górą 800,000 maszyn UNDERWOOD. Imponująca cyfra osiągnięta w ciągu 13 lat istnienia maszyny — mówi ona lepiej od wszelkich reklam.



Śmiało można powiedzieć, iż niema prawie ani jednego biura rządowego czy prywatnego, niema wielkiego domu handlowego czy przemysłowego, w których by nie pisano na maszynie UNDERWOOD.

Zalety jej zwyciężyły wszystkie inne systemy maszyn i pozwoliły zająć to dominujące stanowisko.

A że fabryka niema zamiaru poprzestać na raz już zdobytych sukcesach i że idzie zawsze naprzód — najlepiej świadczą o tem ciągłe ulepszenia i ciągłe nowości, z których część jest demonstrowaną na wystawie kijowskiej.



Ś. p. Dominika-Marya Słowacka,

córka ś. p. Jana Frej-Szmidta — budowniczego, i Petroneli z Sarnowskich, zmarła dnia 15 lipca r. b. Urodzona w Marymoncie w 1863 roku, lata młodzieńcze spędziła w majątku rodzinnym, następnie z całą rodziną zamieszkała w Warszawie.



6-go września 1891-go roku wstąpiła w związek małżeński z Wincentym Słowackim, radcą stanu, profesorem korpusu kadetów i zakładów naukowych, obywatelem m. Warszawy. Miłująca z całej duszy swoję ziemię ojczystą, obdarzona niepospolitemi zaletami duszy i serca, niezmiernie czuła na niedolę ludzką — otarła niejedną łzę cierpiącym i nieszczęśliwym, niejedną sierotę przygarnęła i ogrzała ciepłem swego serca. Zgonowi jej towarzyszy głęboki żal w szerokich kołach znajomych i przyjaciół. Ś. p. Słowacka pozostawiła męża Wincentego, oraz trzy córki: Aleksanrę, Wincentynę i Mieczysławę. Cześć jej pamięci.

„Sprostowanie". W numerze 29 w sonecie „Kamea" wkradła się omyłka zecerską, którą prostujemy: Zamiast: I widzę — i ciebie Faonie, powinno być: I widzę błękit nieba, i ciebie Faonie!

Treść № 31 „Świata".

ODDZIELNE ILUSTRACYE:

Z Kalotechniki.

Nr. 8. *Mimozie.* Zmarszczki, oraz zbyteczny podbródek można usunąć tylko za pomocą masażu wibracyjnego. Masaż można robić samej Autowibratorem d-ra Johansena lub też w Kalotechnice wykonywany jest przez dyplomowane masażystki. Przed masażem lekko posmarować twarz kremem Radium, b. odżywczo wpływającym na cerę.

Nr. 17. Lepiej jest usunąć znamię u dziecka zaraz, gdyż skoro się rozrośnie, będzie trudniej je usunąć. Niech Sz. Pan zgłosi się z dzieckiem do Kalotechniki w godzinach porad lekarskich, codzień od 4—6, a znamię będzie zdjęte za pomocą elektryczności i śladów żadnych nie pozostanie.

Nr. 200. Wągry trzeba koniecznie usunąć mechanicznie, a następnie zaś leczyć skórę za pomocą masażu w celu pobudzenia prawidłowej funkcyi gruczołów łojowych, wycierać twarz przez czas dłuższy płynem Vesta, doskonale oczyszczającym skórę, oraz myć się Perełkami alkalicznemi. Piegi usunie krem Lanol wyrobu Laboratoryum Kalotechniki.

Uwaga. Przy kupnie wymienionych tu środków należy zwracać baczną uwagę na markę ochronną, w którą zaopatrzone są wszystkie te środki, dla odróżnienia od wykrytych bezwartościowych falsyfikatów.

Listy adresować: Marszałkowska 116, tel. 16-73, Kalotechnika, a na wszelkie pytania odpowiadamy bezinteresownie.

Zarząd Kalotechniki.

Poradnik hygieniczno-leczniczy.

Leczenie zębów.

Jednym z najstraszliwszych bólów, mogącym doprowadzić cierpiącego do szału, jest ból zębów. Przyczyną jego jest albo próchnienie korzeni, albo też uszkodzenie emalii lub nerwu. Następnym wynikiem bólu zębów są cierpienia żołądka, kiszek i t. p. Nie należy więc lekceważyć sobie bólu zębów, tylko zawczasu przystąpić do leczenia, zapobiegając przez to samo innym, mogącym się z niego wywiązać cierpieniom. Najbardziej wskazanem jest stałe, systematyczne pielęgnowanie zębów] przez specyalne zabiegi, to jest przez płukanie, czyszczenie szczoteczką z proszkiem lub pastą i t. p. Najodpowiedniejszemi do tych zabiegów, jak praktyka dowiodła, okazały się przetwory „Tlenolu", (krem, proszek i płyn), sporządzone według przepisu dr. Napoleona Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej.

Walka z anemją.

Jedną z bied, trapiących bardzo ludzkość współczesną jest anemja. Szczególnie szkodliwy wpływ wywiera ona na młode pokolenia, wyniszczając ich organizm, czyniąc go podatnym do różnych chorób. Od szeregu lat toczy ludzkość walkę z tem złem, wszelkie mi sposobami starając się powiększyć ilość czerwonych ciałek w krwi. Próbowano przeróżnych sposobów, lecz najodpowiedniejszymi okazały się *Pigułki Sanguinalowe Krewela.* Zawierają one znaczny procent żelaza i znakomicie działają na ustrój, nie szkodząc żołądkowi i zębom. Zażywanie ich wskazanem zostało przez wiele powag lekarskich, nawet w wypadkach ostrej anemii.

Papier Poudré.

Suknie modne są obcisłe bez kieszeni, tak że niema gdzie nosić puderniczki i puszku. Niewiedzą nawet nasze panie o tem, że genialny wynalazek zapobiegł temu ich zmartwieniu, tworząc papier pudrowy w książeczkach, (tak zw. Papier Poudré Ltd), z której wystarcza wyrwać jedną karteczkę i rozetrzeć ją po twarzy, przy pomocy chusteczki ażeby okrytą została warstwą najdelikatniejszego pudru.

Dr. M. D.



Polecamy

Sz. Czytelnikom bardzo biednego starca, który po całym szeregu przejść życiowych znajduje się obecnie na bruku bez dachu i środków do życia. Ofiary dla „A. B." przyjmuje Administracya